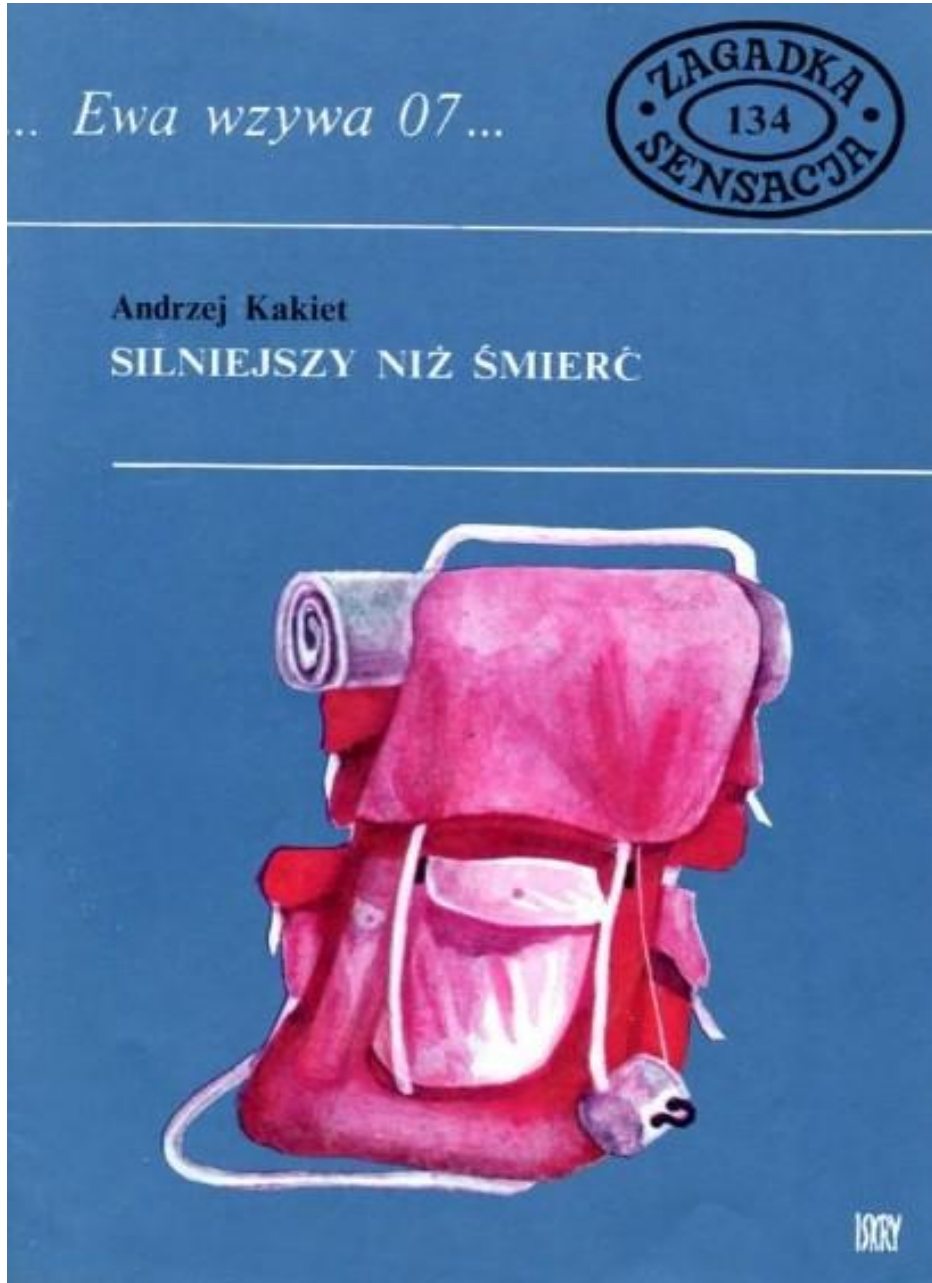


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Andrzej Kakiet

Silniejszy niż śmierć



Rozdział I

—Był już pełny, słoneczny dzień, kiedy opalizujący w świetle Radosny ptak Drongo, jak go sarkastycznie nazywałem, pojawił się znowu, po raz pierwszy od dobrych kilku lat. Nabierając pod skrzydła ciepłego, lipcowego powietrza opadł na otaczający mnie i pulsujący w rytm mego oddechu kokon, który też wychynął nic wiedzieć skąd. Drżałem. Ptak z nieopisaną i przez to przerażającą powolnością złożył swoje nietoperzowate skrzydła i wlepił we mnie wzrok. Patrzyliśmy na siebie z nienawiścią. Łysy łeb i szyja z chodzącą w górę i w dół ostrą grdyką upodabniały go do wyleniałego amerykańskiego kondora, który stara się połknąć piłkę tenisową.

To nic było absolutnie śmieszne. Zresztą nie przypomina) żadnego ze znanych mi choćby z albumów okazów fauny. Czy zresztą jakikolwiek ziemski ptak ma włosy zamiast piór? Zamiast szponów ludzkie dłonie? Jego dziób miał wyraz — właśnie tak! — szyderczy. Cały był jednym wielkim szyderstwem ze mnie. Byłem tego pewny, zresztą potwierdzenie widziałem w jego wyłupiastych ślepiach.

—Rozstawiając wygodniej te swoje przeraźliwe dłonio—łapy i machając błoniastymi skrzydłami trzepnął dziobem w powłokę mojej klatki. Wysoki, napięty dźwięk niemal rozsadził mi czaszkę. Staralem się rozpaczliwie zasłonić sobie uszy, ale nie mogłem, gdyż ręce (nie wiem, czy to już powiedziałem) miałem bezwładne. Wolno mi było tylko zaciskać pięści. Nic nie znaczący, śmieszny gest...

Dźwięczny ton potoczył się z równą siłą jeszcze raz i jeszcze. Wiedziałem, ogromnie dokładnie wiedziałem, co stanie się dalej. Najlepszym wyjściem było po prostu zdechnąć z przerażenia, ale ten dźwięk wyparł ze mnie wszystkie uczucia... Facet bez twarzy siedzący w kącie — klatka była półprzezroczysta i paraboloidalna, ale jakimś cudem miała również kąty — drgnął i leniwie posunął się w moim kierunku. Spieszyć się nic musiał, miał kupę czasu i wiedział o tym. W trójpalczastej dłoni tlił mu się papieros. Metodycznie, w takt uderzeń dzioba, przytykał mi jego żarzący się koniec do twarzy, poczynając od kącików warg ukosem w stronę oczu. Mogłem je tylko zamknąć, podobnie jak pięści, i miało to ten sam efekt.

Chyba zacząłem krzyczeć, raczej na pewno tak, bo usta miałem otwarte, ale dźwięk uderzeń dzioba wypełniał tak szczelnie to w gruncie rzeczy niewielkie pomieszczenie, że nie było w nim już miejsca na mój krzyk. Żar był tuż obok oczodołów, za następnym razem... Aaaaaa!!! Z wysiłkiem skręcającym mi kręgi szarpnąłem głową i w tym samym momencie usłyszałem własny ryk. Było gorąco jak we wnętrzu hutniczego pieca. Uczucie to powoli, bardzo powoli mijało...

Z trudem uchyliłem powieki. Leżałem brzuchem na podłodze koło fotela. Musiałem się z niego zsunąć w nocy, bo ciało miałem pokraccznie skręcone. Przyciskałem nim do podłogi ręce, ściernięte teraz i nieczule, gdy próbowałem nimi poruszyć. To tłumaczyło ich unieruchomienie w tym... śnie? Nie bytem wcale pewien, czy był to jeszcze tylko sen, czy już, jawa. Niezmiennosc pojawiania się w pewnych momentach mego życia tej... wizji... była niepokojąca i naprawdę nie wiedziałem, czy oznacza to nieistotny, choć nieprzyjemny majak, czy się zdarza, czy też mam już przyjaciela... Jak się ma przyjaciela, to wtedy to, co wydaje się jedynie potwornym snem, jest najzupełniej realnym koszmarem. Nieskończenie realnym koszmarem. I nie jest wcale lżej ze świadomością, że powstaje on w tobie, bo wiesz to dopiero potem...

Czyżby tak zaczynało się delirium?! Ta myśl dźgnęła mnie na tyle mocno, że znalazłem siłę na przekroczenie się na wznak i oparcie głowy o najbliższą nogę fotela. Po chwili podciągnąłem się tak, aby spoczy-

wała na brzegu siedzenia. Zimny pot, który mnie oblał po tych zabiegach, otrzeźwił mnie jeszcze bardziej, oczywiście po dobrze znanym i nieuchronnym osłabieniu, wywołującym deszcz mroczków przed oczami. Byłem już zdolny do tępego patrzenia w głąb jasnego pomieszczenia, w którym z wielkim trudem rozpoznałem własny pokój. Mimo to zawirowało mi w głowie pytanie, jakie zawsze zjawia się przy takich okazjach: „gdzie ja jestem?”. „W swoim domu. Idioto!” — słuchałem tego wewnętrznego dialogu jak ktoś obcy, siedzący obok — Rozświetlone wnętrze było pełne spokoju i przynosiło ulgę, choć głowę miałem jeszcze pełną nic tak odległych wspomnień potężnego wysokiego tonu, który...

Z wysiłkiem przerwałem bieg tej myśli. Na regale lśnił czerwony punkt, obok, nieco niżej, drugi — słabo widoczny w słońcu. Gramofon i wzmacniacz. Nie wyłączyłem ich widać... wczoraj?... dzisiaj?

Na talerzu leżała płyta.

Podniosłem się z gracją stracha na wróble i gdy serce oraz pulsowanie w skroniach wróciły mi do rytmu stanu przedza wałowego, pomału, dotykając prawą ręką ściany, przyczłapałem do półek. Zdjąłem płytę... *Mad mun nrica Burdona*. Wpatrzyłem się bezmyślnie w czarny krążek i usilnie, choć opornie mi to szło. starałem się przypomnieć sobie ostatnie dwa dni...

— W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Sąd. Wojewódzki w Warszawie... w składzie... po rozpatrzeniu w IV Wydziale Karnym — równe, spokojne słowa rozlegały się głębokim echem, w zupełnej ciszy obszernej sali... — w dniu...

Słuchałem nieuważnie, zaprzątnięty jednym; jaka kwalifikacja?

— ...a więc za czyn przewidziany w artykule 1—48 paragraf dwa kodeksu karnego, uznaje oskarżonego winnym i skazuje go na karę pięciu lat pozbawienia wolności. Na poczet tej kary zalicza się oskarżonemu jego dotychczasowy pobyt w areszcie tymczasowym. W uzasadnieniu wyroku sąd...

Przestałem zupełnie słuchać. Czyli jednak udało się Konradowi wygrać! Pokręciłem głową. Sprawa nie była prosta i przez cały proces trwała nieustanna walka między nim a prokuratorem o prawną kwalifikację czynu. Z premedytacją, czy w afekcie? Różnica jednego paragrafu, a mogła oznaczać kilkanaście lat więcej dla sprawcy. Kiedy zobaczyłem pierwszy raz jego grubo ciosaną twarz i przerażone, mętne oczy, pomyślałem, że może to być nawet kwestia życia i śmierci. Jak niewiele czasem brakuje... Ale tu jednak sąd przyjął, że w afekcie. Wyrok — o połowę niższy od maksymalnego przewidzianego kodeksem. Przyznaję, że osobiście miałem wątpliwości co do szczęśliwego dla tego niedźwiedziowatego mężczyzny końca. Siedział on teraz pochylony, tak jak opadł na ławę po zamknięciu sędziego. Widziałem jego nieruchome plecy. Twarz miał zdaje się ukrytą w dłoniach. Hederle obrócił się do niego i bez słów patrzył na jego pokurczoną sylwetkę. Na dziwnie poszarzałej twarzy nie widać było uśmiechu. Zdumiałem się. Przecież to był niekwestionowany sukces! A on był jak wypłuty kłęb zmęczenia. Siedział i patrzył na swojego klienta w podobnym do niego bezruchu, ich statyczność zwracała uwagę, bo wokół zaczął się już normalny gwar. komentarze, ludzie wstawali, szurali nogami. Komplet sędziowski zbierał akta. Część publiczności, dość licznej na tej sprawie, już wyszła. Proces był zapewne smakowitym kąskiem dla kibiców sądowych. Muszę się przyznać, że nie rozumiałem tych ludzi, dla mnie siedzenie w salach sądowych było męką j tylko przymus zawodowy mógł to sankcjonować, ale z własnej woli babrać się w czyichś tragediach?! Inna sprawa, że zabójstwo z powodu dziewczyny nie jest znowu u nas takie częste...

Konrad podniósł w końcu oczy. Kiwnąłem mu ręką i zacząłem na migi, pomagając sobie ruchami warg, tłumaczyć, że poczekam na niego w hallu. Skrzywił się porozumiewawczo i eoś na kształt uśmiechu przemknęło mu przez twarz. Podniósł się, pozbierał papiery, wsadził je zwyczajnie pod pachę i poszedł za

swoim „pacjentem”, wyprowadzanym właśnie przez boczne drzwi przez dwóch „niebieskich”, siedzących cały czas obok niego.

Palilem już trzeciego papierosa, kręcąc się bez celu po parterze potężnego gmachu sądów, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się szybko.

— Gratuluję — powiedziałem, unosząc w górę kciuk.

— Daj spokój — machnął ręką Hederle. Jak to?! Coś ty. do cholery, taki struty?! — zdziwiłem się serdecznie. — Skakać powinienes! Sprawa jak diabli! Gościa mogli swobodnie posadzić na dwie dychy, a ty go wykręciłeś piątką i przytarłeś przy okazji nosa Bakowskiemu. To ostatnie chyba też coś znaczy?!

Wiedziałem, że nie lubili się z prokuratorem. Razem studiowali...

— Fakt. masz racje — kiwnął głową. Zabrzmiało to jak podziękowanie za pożyczony bila autobusowy. — Może i powinienem skakać, ale... — zawiesił głos.

Przyjrzałem mu się uważnie. Miał worki pod oczami, twarz bladą, ściągniętą. Uzmysłowiłem sobie nagle, że prawie zawsze wyglądał tak po ciężkich sprawach, w których bronił. Czyżby aż tyle go ta praca kosztowała?

— Czyżby aż tyle cię ta robota kosztowała? — spytałem inteligentnie. Nie odpowiedział. Wzruszyłem ramionami. — Chodź w takim razie z tego bunkra, może na powietrzu zaczniesz funkcjonować normalnie. Pójdziemy na jakieś piwo — dodałem bez specjalnej nadziei. Zwykle zegnał się szybko i odchodził.

— Chodźmy — zgodził się niespodziewanie ulegle.

— Hej. Andrzej! — doleciał mnie gdzieś z tyłu znajomy głos. gdy lawirując pomiędzy grupkami zaferowanych ludzi (jakoś nigdy nie widziałem .tu spokojnego człowieka, może poza cieciami), dochodziliśmy już prawie do obrotowych drzwi. Stałem. Z kłębiącego się tłumu wychynęła postać Jastrzębskiego.

— Cześć, kawał czasu cię nie widziałem — podałem mu rękę.

— Witaj, bracie — przymrużył oko. Znał to moje ulubione powiedzenie, z którym ostatnio walczyłem. — Tak się jakoś składało... Mam kupę roboty.

— Znowu ktoś nie przestrzega przykazań bożych?

— Tak jakby. Zwłaszcza piątego — wpadł w mój ton,

— A ty go się starasz znaleźć i nawrócić? — uśmiechnąłem się domyślnie.

— Nie miałbym nic przeciwko temu — pokiwał głową.

— Tak. bra... — zdołałem w porę wyhamować. — Tak — powtórzyłem — złap ptaszka, a Konrad — kiwnąłem ręką w jego kierunku — wyrwie ci go spod ręki i udowodni, że miał trudne dzieciństwo, przechodził ospę i odrę i w ogóle to nic chciał, tylko tak wyszło, a więc puść go. Wysoki Sądzie! A potem będzie bardzo niezadowolony, jak teraz!

— O. właśnie. Gadamy, a tu... — Jurek wyciągnął rękę. — Przepraszam, dzień dobry, panie Konradzie.

— Witam. Drobiazg... Andrzej lubi sobie pogadać...

— To wy się znacie? — byłem trochę zdziwiony.

— Jak widzisz — Hederle rozłożył ręce, — Parę spraw... Sąd łączy ludzi — coś jakby uśmiech zamigotało mu w oczach.

— To już mu może kogoś wyrwałeś? — zapytałem, nieco przytłoczony jego dzisiejszym dowcipem.

— Jakoś nie... — odparł za niego Jastrzębski. — A dzisiaj — co? Wygrał pan sprawę, jak widzę?!

Musiał go znać lepiej niż myślałem!

— A jak! — nie wytrzymałem. — Prokurator włosy sobie rwał z głowy, żeby gościa posadzić z paragrafu I tego miłego 148 artykułu. a on mu zagrał na nosie, zmienił na drugi i przekonał o tym nawet ciecia, który wpuszcza ludzi. Facet dostał piątkę, a ten chodzi i płacze jak pokąsany. Cały Konrad! — pokiwałem głową.

— Cholera, jak ty łatwo mówisz „piątkę“! — Hederle obrócił się do mnie z nagłą złością, — A czy ty wiesz, co to jest pięć lat?! Prawie dwa tysiące dni. do diabła! Widzę coraz wyraźniej, że u nas więzienie się już zupełnie deprecjonuje. Dwu—cyfrowka, to dopiero skupia trochę uwagi, ale niżej... — wyrzucał z siebie. — Nie ma o czym gadać, to się nic liczy! Bulka z masłem i lody śmietankowe! — urwał na moment. — Gdybym cię nie znał. myślałbym, że naprawdę tak sądzisz — sapnął już spokojniej.

Nie było potrzeby, abym coś dodawał.

— A co to było? — zainteresował się Jurek.

— Drobiazg — odparłem zgrzyliwie, nieco jeszcze zaskoczony wyhuchem Konrada, — Wyobraź sobie wieś niedaleko wielkiego miasta. Tragedia, bracie, antyczna. Ich dwóch i ona jedna. Pierwszy, niewątpliwie zakochany w niej. jak również w ziemi. Solidny syn bogatego gospodarza. Chce zostać na ojcowiznie. Kawa) pola i tylko młodszy brat. który raczej ciągnie do miasta, więc ze spłatą nie będzie problemów... Oficjalnie się zaręczają, przy przychylności rodziców, co nie jest dziwne... No bo gdzież, taki kawał pola... A i ona niebiedna, grzeczny sad posiada. Wszystkie szykany, bra... — skrzywiłem się ze złością. — Pierścionek nawet kupił! Chodzą razem na zabawy i do sianokosów. Jednym słowem idylla i spółdzielnia „Jasna przyszłość“. I wtedy zjawia się ten drugi. z pobliskiej wsi do tego. Gdzieś ma ziemię, miasto ? to jest to! Niewątpliwie bystrzejszy od pierwszego, który faktycznie lotnością nie grzeszy. Chociaż, kio go tam wie... — zastanowiłem się przez chwilę. — Do niektórych rzeczy okazał się zdolny... No i tak dalej, i tak dalej, możesz sobie dopowiedzieć resztę. Z tym że tu koniec jest dość ponury. Ten drugi wychodzi z tego wprawdzie, lecz na ramionach rodziny, przy dźwięku dzwonów...

— Nie upraszczaj. Andrzej — cicho sprostował Hederle.

— Oczywiście, że upraszczam — przytaknąłem. — Zawsze się upraszcza, gdy chcesz opowiedzieć coś. co tragiczne, a jednocześnie typowe. Nic zauważyłeś? Zabił tylko nietypowo zwróciłem się do Jastrzębskiego. — To był jeden z dowodów, że w afekcie...

— Tak? — uniósł pytająco brwi. Kosa — stwierdziłem zwięźle.

— Co? — nie zrozumiał. — Nożem?

— Jakim nożem? tym razem ja byłem zdumiony. Aha — pojąłem wreszcie — nie. kosą. Normalną kosą. Narzędziem rolniczego trudu — wyjaśniłem. — Ci dwaj pretendenci do ożenku natknęli się na siebie na łące. którą właśnie kosił ten oficjalny, a wtedy już wzgardzony narzeczoney. Maszyną to robił, ale niestety miał i ostrze na kiju, bo łąka była dość nierówna i kosiarka nie wszystko brała. Zaczęli rozmawiać, jeśli można to nazwać rozmową, no i... — zawiesiłem głos. — Najpierw po nogach, a potem po szyi. Skuteczny

sposób — skrzywiłem się, gdyż przypomniałem sobie sceny z procesu. — No i Konrad przez przeszło rok przekonywał, że to w afekcie...

— Pewnie, że w afekcie — ożywił się Hederle. — To wieś. Andrzej — powiedział z naciskiem. — A tamten mu się w nos śmiał. Wiesz, jak to jest komentowane... Bonecki to syn gospodarza z dziada pradziada. Wykiwany w najbardziej, obok działów, bolesny sposób przez kogoś, kto nawet nie miał paru hektarów... — urwał.

— Mniej więcej tak właśnie to wyglądało... — wyjaśniłem. — Ale mnie nie musisz tłumaczyć! po-kiwałem głową.

— No dobrze, jasne. Tylko czemu musiał się pan tyle naszarpać. aby udowodnić, że to w afekcie?

— Między innymi dlatego, że ten Bonecki powiedział parę razy we wsi. że to robi — przypomniałem sobie argumenty prokuratora.

— To się tak tylko mówi! Gdyby każde takie utwardzenie...

— Spokojnie, bracie! — ze śmiechem podniosłem ręce do góry — Nie jesteśmy już na sali. Konrad! Chodźmy stąd. bo on w tych murach cierpi na nieustanną konieczność przekonywania wszystkich o swej racji — skrzywiłem się porozumiewawczo do Jurka.

Zgodnie poszliśmy do wyjścia. Nikt mi nic udowodni, że te obłądne wiatraki zamiast uczciwych drzwi zostały w gmachu sądów umieszczone przypadkowo. Nie znosiłem tego pomyku. Pół godziny chodzenia w tym w kółko i przyznałbym się do dowolnego czynu... No. może nie do każdego... I nikt tego. na szczęście, nie wiedział..

—A co ty w ogóle tutaj robiłeś? spytałem Jastrzębskiego, który znieacka zatrzymał się gwałtownie na rogu Marchlewskiego.

— Zaraz, gdzie ja idę? — odparł bez związku. —A tak... — dodał wymijająco.

— Jak to: a tak? Zakończyliście coś nowego? Interesujące chociaż?

—Nie zakończyliśmy — powiedział jakby ze złością — To jest cały czas aktualne. Na pewno trochę dziwne i denerwujące — skrzywił się — ale czy interesujące?... — zastanowił się przez moment. — Może... No. ale to nieistotne. Tu byłem w zupełnie innej sprawie. Za świadka robię — stwierdził z jakąś determinacją, jakby się wstydził.

—Ooo? Za świadka? — zaciekawił się Hederle.

— Właśnie. Taka mała rzecz. Kieszonkowcy. Z autobusów. Jadę raz i nagle czuję, że coś dziwnego dzieje się z moimi spodniami...

—Pękły ci? — nie wytrzymałem.

— Przestań się wygłupiać! Obróciłem się. a tu gość za mną daremnie starał się ukryć zmieszanie i ży-letkę oprawioną w ołów.

Zrozumiałem i zachciało mi się śmiać. On — z Wydziału Zabójstw Komendy Głównej i ..taka mała rzecz", jak powiedział. Czekałem na taki moment.

—Wiecie co? Chodźmy do mnie Pogadamy. Opowiesz o tym. a przede wszystkim o tej swojej głównej sprawie. Trzeba tylko jakąś bullę kupić... — rozejrzałem się wokół. — No co? Byłe „Delikatesy" obok...

— Nie. dziś nie mogę — pokręcił głową Jurek. — Muszę jak najszybciej wracać do roboty.

— Ja też mam dość — wtrącił swoje Konrad. — Położyć się. to jedyne moje marzenie.

No tak. należało się tego spodziewać. Mieli swoje życie. cel. terminy. Wszystko to. na czym mi aktualnie u ogóle nie zależało. Albo ściślej, na czym udawałem, zwłaszcza przed sobą. że w ogóle mi nie zależało...

— O drugiej do wyra'? — spróbowałem jeszcze, wiedząc dobrze, że to bezcelowe.

— Godzina nie ma czasem nic do rzeczy — odparł poważnie. — Może jutro? — dorzucił pytająco.

— Właśnie! Jutro jest OK — podchwycił Jurek. — To co. stoi? Jutro... o szóstej, na przykład — niecierpliwiał się wyraźnie.

— No dobrze, niech was — machnąłem zrezygnowany ręką. Wszystko jest bez sensu...

Pożegnali się szybko. Jastrzębski zawrócił pod budynek sądów i wsiadł do jasnego fiata, który natchmiast ruszył. Pokiwał ni i jeszcze ręką. gdy samochód skręcał w Marchlewskiego. Rozejrzałem się za Konradem, po dłuższej chwili zobaczyłem go już dość daleko, na wysokości „Feminy”. Wsiadł właśnie do autobusu — K>6 — odczytałem z trudem, mrużąc oczy. No tak. mieszkał koło Torwaru. Mignęła jeszcze w drzwiach jego ciemna teczka. Ciekawe, że nic jeździ wozem — błysnęło mi w myślach. Benzyna reglamentowana, ale wiara daje sobie radę i nie przypuszczałem, żeby taki dobry adwokat miał specjalne problem>. Racja, przypomniałem sobie, on nigdy na decydującą rozprawę nie przyjeżdżał swoim samochodem. Przesąd jakiś, czy co...? Nieczęsto zdarzają się ludzie o tak emocjonalnym stosunku do pracy. Był dla mnie klasycznym kandydatem do zawału w niedalekiej przyszłości. „Kiedy byłem mały — opowiadał mi swego czasu — rozboleły mnie zęby. Jeszcze mleczne. Matka wzięła smarkacza za rękę i zaprowadziła do dentysty. Po długotrwałych zapewnieniach, że nie będzie bolało, dałem się wreszcie posadzić na fotelu. "Oszukałeś mnie. ty skurwysynu! Bolało!" — wrzasnąłem chwilę potem, prezentując nienaganne przedszkolne wychowanie, "przepraszam" — wyszeptał zaskoczony lekarz. Mną jednak to oszustwo wstrząsnęło do głębi i od tego momentu postanowiłem walczyć o sprawiedliwość!". Zabawna historyjka i mówił ją po kilku kieliszkach, ale dość dobrze go charakteryzowała. Nie mnie jednemu ja opowiadał. Poznałem Konrada parę lat temu. w okresie, kiedy byłem tylko sprawozdawcą sądowym. Tak się złożyło, że bronił w paru kolejnych sprawach, na których byłem i ja... Jak ja powiedziałem o nim? „Klasyczny kandydat na zawałowca, przy tym stosunku do pracy?" O mnie też tak mówili... Z powodów, o których nie będę pisał, czas przeszły był tu jak najbardziej na miejscu. Jeszcze będą mówili! Nawet w moich myślach zabrzmiało to dość żałośnie... Nie zmieniło się tylko jedno.

Zawsze miałem przekonanie do ludzi, którzy swoją prawdziwą pracę traktują jak Jerry Lee Lewis fortepian.

Stałem sam na ruchliwej ulicy. Mijali mnie ludzie, każdy ze swoim bagażem na barkach, żaden nawet nie spojrzął w moją stronę. Nic nie widzieli dookoła, nie ich nie obchodziło poza tym. żeby wreszcie dostać jakiś ochłap, zrealizować tę cholerną kartkę... Przyznaję, że to był pretekst, ta sprawa Jurka. Niewiele mnie interesowała. Chciałem ich ściągnąć po prostu do siebie. Samotność chodziła po moim mieszkaniu i za dobrze ją znałem, żeby nie mieć jej dość... Właściwie powinienem napisać sprawozdanie z tego procesu. Wzruszyłem ramionami... Jeszcze jeden tył w redakcji... Jakie to ma znaczenie? Wiedziałem już, co zrobię. Poszedłem zdecydowanym krokiem do byłych „Delikatesów”. Akurat paliło się zielone światło...

Leżał na tapczanie pałac papierosa. Małgorzata miała przyjść dopiero za parę godzin. Kończyła pracę o czwartej i trwało to kilkadziesiąt minut—zanim dobijała do JEGO mieszkania. Cóż, według warszawskiej komunikacji doprawdy trudno było regulować zegarki. Zabraniała mu przyjeżdżać samochodem pod swoją pracę, dbając o reputację. Tak właśnie mówiła: „dbam o moją reputację”. Śmieszny zwrot; a jednak w jej ustach miało to jakiś specyficzny wydźwięk. Nauczył się zresztą nic dziwić niczemu w takich układach. Zresztą wiele pustych, zdawałoby się, zdań w jej ustach brzmiało jak prawdy objawione. Przynajmniej było tak wtedy, gdy ją poznał. A teraz... Zaczęła MU ciążyć! Czuł to. Więcej, zaczęła Mi' ciążyć w ten szczególny sposób— Pojął nagle, że podświadomie przeczuwał to już na początku. „Nic dziwnego uśmiechnął się krzywo. — Masz już doświadczenie. Czwarty raz...”

—Padał wtedy deszcz. Jechał do domu i zobaczył ją, starającą się złapać jakiś samochód. Taksówka o wpół do piątej w Śródmieściu, w deszcz, to coś więcej niż marzenie... Ujrzał ją z daleka, w półkolach zakreślanych przez wycieraczki, jak podbiegała w ten charakterystyczny sposób do krawężnika, szamocząc się? parasolką, gwałtownymi ruchami machała ręką i cofała parę kroków z bijącym z całej sylwetki zawodem po każdym mijającym ją aucie. Uprzejmość uprzejmością, ale wszędzie ci taka mokra do samochodu, siedzenia zaleje. Czyść je potem, człowieku. A benzyna też na litry... Czyż nie tak? Przypominała Klarę tak bardzo, że aż poczuł ukłucie serca. Wiedział już, że musi z nią...

Zahamował i otworzył drzwiczki.

— Słucham, gdzie pani każe jechać?

— A można?... — z nadzieją wsadziła głowę do wnętrza. — Chciałam na Pragę...

— Z panią gdziekolwiek — nie dał jej dokończyć. — Spotkałaby mnie niewątpliwie seria nieszczęść, gdybym nie podwiózł tak nieprzyzwoicie ładnej kobiety. Proszę...

Usunął się na swoje siedzenie robiąc jej miejsce. Wsiadła po krótkiej batalii z oporną parasolką. Przez chwilę trochę bezradnie starała się umieścić ociekający wodą kikut tak, aby jak najmniej zalać podłogę. Uśmiechnęła się przeprasząco.

— Będzie pan miał przeze mnie kupę sprzątanina.

— Nie szkodzi. Lubię pływać.

Uśmiechnęła się ponownie, wyraźnie rozbawiona. Delikatnie puścił do niej oko. Nie odwróciła wzroku. To zadziwiające, jak takie teksty i prościutkie chwytły potrafią być skuteczne! Chodzi tylko — a może aż — o trafienie we właściwy moment. Prowadząc dalej tę żartobliwie niezobowiązującą rozmowę dowiedział się zaskakująco dużo o swej przygodnej towarzysze. Ostatecznie na Bródno (bo tam w rzeczywistości chciała jechać) jest kawałek drogi. I niekoniecznie trzeba jechać najkrótszą...

Zamiast pieniędzy wziął od niej numer telefonu do pracy, z którego oczywiście skorzystał zaraz następnego dnia. To był początek, który przerodził się w związek trwający już przeszło dziewięć miesięcy. „Jak przenoszone dziecko” nie mógł się powstrzymać od refleksji.

Zaciągnął się głęboko papierosem, a myśli leniwie płynęły dalej.

Miała męża i dziecko, sześciolletnią dziewczynkę, ale to umiała rozegrać. Nic się nie domyślali, był tego pewien. Cóż, osiem lat po ślubie, często mało się widzi. I można też niespecjalnie chcieć patrzeć. To było MU bardzo na rękę. W przeciwnym razie musiałyby zrezygnować... A tak stosując się starannie do obmyślonych przez nią — pod jego dyskretnym kierunkiem reguł gry można to było swobodnie ciągnąć jeszcze długo z pełnym poczuciem bezpieczeństwa. Dzwoniła zawsze ona, oprócz tego pierwszego razu. Spotykali się tylko u niego bardzo rzadko przychodząc tu razem. Potrafiła wysłać go najpierw i przyjść po kilkunastu

minutach sama. Świetnie! Nie miał prawa w jakikolwiek sposób pokazać się u niej. w pracy. „Koleżanki” wyjaśniała Jeszcze lepiej! Do knajp w Warszawie nie chodzili, zresztą po co? Tak. naprawdę można by to ciągnąć do woli. gdyby... Właśnie. Nadchodził czas... Ta kobieta przypominała Klarę za bardzo! Przypominała MU ją do tego stopnia, że parę razy powiedział do niej „Klaro” budząc zdziwienie, a nawet gniew. Zaczęła się dopytywać o tę Klarę. Tego tylko brakowało! Rozumiał, że to zupełnie naturalna reakcja, wmawiał to sobie, ale jednocześnie poczuł, że zamieszkał w NIM strach... JEGO strach... To coś przerażającego przez długie lata nie wiedzieć nic o sobie myśląc, że wie się wszystko i tak nagle zobaczyć... Tak — właśnie zobaczyć! Od tamtego momentu nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, chociaż przedtem roześmiałby się w głos na takie *dictum*. Świat, w jakim żył. był dokładnie poustawiany i dostrzega! siebie w jego wyraźnych ramach, i to na możliwie poczesnym miejscu. Gdyby ktoś. nawet rankiem tamtego dnia. przyszedł do MEGO t powiedział: „Synu. dziś usłyszysz i zobaczysz własny strucli” — reakcją mógłby być jedynie śmiech Może by i splunął— Takie psychologiczne majaki... Ale nie teraz, nie teraz! Bo była już ta zalewana gradem skalna płyta i jej głos...

Miał momenty, w których spoglądał jakby z góry na tamtą scenę, choć ostatnio coraz rzadziej, bo znalazł sposób... A przynajmniej wydawało MU się. że znalazł. Nic nie było już od tamtego czasu jasne... Nie pamiętał, jak trafili na NIEGO ludzie i jak GO znieśli w dolinę. Kiedy obudził >ię w zakopiańskim szpitalu, cały czas się trząsł. To się potem zmieniło w wewnętrzny mróz i luki zmrożony chodził parę lat. dopóki coś nie kazało MU tam wrócić. W góry. Odszukał, ostrożnie rozpytując, to miejsce... A jeszcze potem ta pierwsza historia z ... Jak jej było na imię?... Baśka. Tak. z Baską. I te wspaniałe chwile, już potem, gdy myślał, że jednak jest silniejszy! A w pracy jak MU wtedy fantastycznie poszło! Po tylu latach bryndzy!

Ale fala nieubłaganie wróciła!

Zacisnął zęby. Do ciężkiej cholery, zawsze wracała! A przecież nie mógł się poddać! Ostatnio wydawało MU się. że wreszcie wygrał! I właśnie akurat wtedy musiała się przytrafić ta fatalna sytuacja z tymi trzema podpitymi modelami, którzy zaczepili Goškę w JEGO obecności. Zdopingowany zareagował, a potem... Naprawdę ich prosił!!

Nawet w NIM samym przypomnienie tego na następny dzień wzbudziło zdziwienie. Opluli ich w końcu i poszli, jeden GO tylko kopnął twierdząc, że szkoda rąk na takiego gnoja, a i jego dziwka musi być guzik warta. „Jesteś skończona szmata!” — usłyszał od niej, gdy zdruzgotany stał. machinalnie ocierając twarz ze śliny. Odwrócił się. chciał coś powiedzieć, ale obok nie było już nikogo. Zadzwoiła jednak następnego dnia z przeprosinami, tłumacząc się zdenerwowaniem. i choć wszystko wydawało się jak dawniej, zrozumiał, że odkryła jego strach. Tę jej oczy. ich wyraz, gdy od czasu do czasu patrzyła na niego uważnie, jakby taksując, czego nigdy dotychczas nie czyniła i ten dystans, delikatny, ale dobrze wyczuwalny, szczególnie dla kogoś tak wrażliwego...

Zduślił papierosa w popielniczce, wstał i podszedł do okna. Patrzył niewidzącymi oczyma w jasny liście za szybą. Rozwahał. Jeszcze raz badał w myślach swój plan. szukając słabych punktów. Nie znalazł żadnych. Wyglądało na to. że naprawdę ich nie było! Nikt z jej strony nic o NIM nie wiedział, a poza tym. czy plan ten nie zadziałał już bezbłędnie po trzykroć? Tak. trzeba zacząć już od dziś...

— *Sursum corda* — podniosłem swój kieliszek w jakieś dwadzieścia kilka godzin od spotkania w sądach. Nie wszystkie z nich pamiętałem, i to nie z powodu snu. Przynajmniej nie tylko.

Po tamtym pożegnaniu przeszedłem na drugą Stronę Świerczewskiego i w byłych „Delikatesach” kupiłem litr wódki dziękując — komu? Przecież nie Bugu? za zniesienie reglamentacji. Tak zatem ogólnie dziękowałem. Wróciłem z tym obciążeniem do domu. Przepelniało mnie dziwne uczucie. Chciałem być sam i

jednocześnie bałem się tego. Jak ja to dobrze znałem! Wcale nie tak dawno temu myślałem, że te stany mi-
nęły wreszcie bezpowrotnie. Wszystko na to wskazywało i naraz tak nagle, z powodów, o których nie będę
pisał, wróciła ta szamotanina z przemożną siłą Zdawałem sobie sprawę z destrukcyjności tej niejasnej sytu-
acji i... nic to nie zmieniało. Przecież wystarczyło parę telefonów, miałem ostatecznie sporo znajomych!
Zwolniłem nawet koło budki... przeszedłem jednak. A przed chwilą za wszelką cenę chciałem ściągnąć do
siebie Jastrzębskiego i Konrada! Teraz, gdy myślałem o tym, było mi to dokładnie obojętne. Przyjaciele,
koledzy, ludzie.

Musiałem się zmierzyć z tą moją przeraźliwą samotnością. Śmieszna walka o z góry przesądzonym wy-
niku. Nie pomoże mi nawet sztuczne ułatwienie... Wiedziałem o tym i jednocześnie łudziłem się, że dam
radę...

W mieszkaniu wyciągnąłem szklanki — darowałem sobie już bowiem mniejsze kałamarze — ale nie
podałem się od razu. To znaczy nie chciałem się tak od razu... Doszedłem jednak rychło do wniosku, że to
bez sensu. Otworzyłem jedną z butelek, nieodmiennie szarpiąc się z pancerną blachą zakrętki. I jak tu ma
starzczać stali na szyny?

Siedziałem potem z zamkniętymi oczami i słuchałem, jak tych dwóch niesamowitych murzyńskich
dziadków — Sleepy John Eastes i Yank Rachell — pokazuje, co to znaczy blues. W tej muzyce widziało się
pylistą polną drogę, wiodącą przez bezkresne pola i ginącą za horyzontem, poza którym jest zresztą to samo.
Przewiązana sznurkiem gitara z polutowanymi byle jak strunami była kwintesencją wędrówki donikąd, a
skrzypce rozlewały się za nią falą, jakby grający na nich szedł parę kroków z tyłu i co chwila zostawał dla
nabrania oddechu, a potem podbiegał doganiając idącego przodem. Czy musze dodawać, że na maszynie do
pisania nawet nie spojrzałem? Tak, to było wczoraj, a dzisiaj...

— *Sursum corda* — powtórzyłem.

— Zdrowie — to Hederle.

— Zdrowie na budowie — wyskoczył znienacka Jurek.

Roześmieliśmy się. Postawiłem z powrotem szkło na stół i leniwie wyciągnąłem się w fotelu. Siedzie-
liśmy tak od (spojrzałem na zegarek: prawie ósma) przeszło godziny. Konrad i Jurek spóźnili się, choć przy-
szli prawie równocześnie. Nie było to zresztą istotne, gdy już byli. Dzisiejszy dzień — a podniosło mnie
około jedenastej, więc dużo go nie było — minął mi właśnie pod kątem tego spotkania. Moja myśl cały czas
tłukła się wokół tych godzin, kiedy wreszcie przyjdą i normalna, konieczna wtedy krzątania i luźna roz-
mowa zagłuszą to, co naprawdę we mnie siedzi.

Zadzwoeniłem do paru ludzi, może jakiś brydż? Jakoś nie mieli czasu. Fakt, że taki nagły telefon w
środku tygodnia... Coś w tym jednak jest, że zazwyczaj, gdy naprawdę potrzeba, nie mają czasu.

Wyskoczyłem do sklepu, zwłaszcza jednego, a potem — o dziwo! — zabrałem się do pisania relacji z
tego procesu. Nawet nieźle mi to szło.

Skończyłem koło piątej i nasłało paskudne półtorej godziny zanim nie usłyszałem pierwszego dzwon-
ka.

Zebrałem tych kilka kairek, które przed tą ostatnią kolejką im przeczytałem. Schowałem je do zawią-
zywanej teczki, rzuconej koło nóg. Przynajmniej te resztki porządku w odniesieniu do tego, co napiszę, jesz-
cze się we mnie tliły.

— No. jak? — zapytałem. — Tak to mniej więcej wyglądało? — zwróciłem się bezpośrednio do Konrada. Zależało mi na jego opinii.

— Tak. właśnie tak odparł. — Widać w tym tekście tę wieś i tego chłopaka... — urwał. — Nie zapomniałeś mimo wszystko, jak się pisze. Nadal masz, Andrzej, rzadki dar wyrażania w paru zdaniach tego. co istotne dodał wolno, jakby w zadumie. Myślał nad czymś intensywnie. — A na pierwszy rzut oka wyglądasz na... — urwał ponownie, szukając słowa.

— ...cynicznego dziennikarzynę, który wszystko widział, nie go nic zaskoczy i który wszystko w gruncie rzeczy ma gdzieś? — dokończyłem za niego.

— Właśnie — uśmiechnął się lekko. — A ty po prostu zdaje się w ten sposób zdobywasz wiedzę o świecie — pokiwał głową i poprawił się na fotelu, jakby doszedł do konkluzji, w jaki sposób prowadzić linię obrony.

Złapałem butelkę, nie chcąc dać poznać po sobie, jak ważne są dla mnie jego słowa. Zachowywałem się jednak czasem jak dzieciak...

— On w ogóle sporo widzi — włączył się milczący dotąd Jurek. — Niech pan sobie wyobrazi, że już dwa razy zobaczył to. co się kupie ludzi nie udawało. Andrzej Kramer, detektyw amator — puścił do mnie oko.

— Jeśli tak zwani zawodowcy zachowują się jak ślepe krety — odciąłem się bez złości — to ratować honor musi amator. Ale dajcie już spokój...

— Słyszałem — teraz dopiero odpowiedział Hederle. Skromny to on nie jest i pochwalił się od razu. W tym drugim wypadku miałeś jednak szczęście — popatrzył na mnie.

— Fakt miałem. Chociaż... Miałem je o tyle. że to akurat właśnie ja na tego gościa wpadłem. I to dwa razy. Bo ogólnie rzecz biorąc taki przypadek mu w sobie coś z nieuniknioności.

— To znaczy twierdzisz, że wcześniej czy później taka sytuacja kończy się wpadką, bo sprawca nie jest w stanie naprawdę wszystkiego przewidzieć? Czy ja wiem... — pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Tu nie chodzi wcale o czysto techniczne — czy jak to nazwać — historie, że tam ktoś coś zobaczy, że jakaś babcia ma zwyczaj wyrzucania dokładnie o 4.45 rano śmieci i to go gubi. Takie rzeczy pewnie też się trafiają i może nawet to pełni ważną funkcję odstraszącą potencjalnych wyznawców własnego porządku prawnego, o własnym stosunku do bliźnich. Ja miałem jednak na myśli coś innego. Ta nieuniknionność. o której mówiłem, siedzi w nim. w mordercy na przykład. On przegrywa w momencie popełnienia zbrodni, mimo że milicja może go do końca życia nie ucapić! Psychicznie jego wpadka jest więcej niż prawdopodobna, rozumiesz? I, co paradoksalne, właśnie dlatego wpada! Zaczyna przewidywać za dużo, stara się przewidzieć wszystko! A to jest niemożliwe, więc zaczyna żyć w strachu, że czegoś nie dopatrzył... Boi się tych przysłowiowych zbiegów okoliczności, a nie wie. że sam je wytwarza, że mają one swoje źródło w nim! To przemożne uczucie — strach... Gość wpada zwykle z przyczyn czysto fizycznych, ale te prawdziwe tkwią w jego psychice! To jest paradoksalne, powtarzam, ale tak chyba właśnie jest! Mówię oczywiście o psychice, mieszczącej się jeszcze w ogólnie przyjętych ramach...

Umilkłem na chwilę, jakby słuchając tego, co powiedziałem.

— Nie wiem. czy dokładnie przekazałem to. o co mi chodzi, ale myślę, że dało się coś z tego zrozumieć? — dorzuciłem po paru sekundach. — Może przejawiam, lecz nie sądzę, żeby bardzo...

— Może — w głosie Konrada znać było powątpiewanie. — Chyba nie do (ego stopnia... Za daleko poszedłeś...

— Andrzej ma sporo racji, wie pan? — odezwał się Jastrzębski.

— I pan to mówi? — zdziwił się Hederle. — pan. przedstawiciel tej całej maszyny, zapatrzonej jedynie w technikę i własną sprawność?

— Przesada. Inna rzecz, że na naradzie u „wodza” tak bym nie powiedział uśmiechnął się do niego. — Lecz to nie przeszkadza, że myślę podobnie. Z tym jednak, że faktycznie Andrzej chyba przerysował! Ja bym nawet wolał takich morderców, co może dziwnie brzmieć. Ale 99% spośród nich wcale nie jest tak skomplikowanych. Zabijają, a myślą — jeśli w ogóle — potem.

— Właśnie. Potem — nie dałem za wygraną.

— To też racja — przyznał Konrad — że ta kosa. pozostańmy przy tym wczorajszym wypadku, to symbol. Albo siekiera... — Patrzył, jak rozlewam wódkę do kieliszków. — O, przy okazji — dajmy sobie spokój z tym panem. Konrad — wyciągnął rękę do Jastrzębskiego.

— Jerzy.

— No, scena, że tylko się rozplakać — stwierdziłem. gdy usiedli. Ująłem ponownie butelkę — za romantyzm i nowe kontakty międzyludzkie!

— Stop. Andrzej, czemu takie tempo? — zgodnie zasłonili swoje kieliszki. — Daj odetchnąć.

Na moment zapadła cisza. Przerwał ją Jurek.

— Właśnie, nie uważasz, że to w ogóle — zaakcentował to słowo — za mocne tempo? Który to dzień?

— Drugi

— A po ilu przerwy?

— Dwóch. Dwa na dwa to cztery! — poczułem gniew. — Po co ci ta arytmetyka?!

— A przedtem tydzień? Nie za ostro? — spytał cicho.

— Bracie — ruszyło mnie trochę — coś ty taki ojciec kochający się zrobił?!

— W porządku — podniósł rękę uspokajającym gestem. — Nie unoś się. Robiłeś i będziesz robił jak uważasz. Co w redakcji? — rzucił nieoczekiwanie.

— Kiepsko — odparłem machinalnie. Wzruszyłem ramionami.

Pokiwał głową i nie mówił już nic. Patrzył na mnie bez. uśmiechu.

— Dam sobie radę! — starałem się to powiedzieć jak najostrzej. — Nic piję przecież dla samego picia! To nie jest takie proste!

— Wiem. Ale co tym zagłuszysz? Ja też kiedyś próbowałem, i co? pamiętasz? — dodał, jakby się usprawiedliwiał. — Dlatego to mówię... — machnął ręką —. I sam zaczął rozlewać „paliwo” do naczyń.

— Dobrze, nie ma o czym mówić — włączył się Konrad. — Wykręcisz się z tego na pewno — podniósł kciuk do góry. jak ja wczoraj pod jego adresem.

— Nie mam się z czego wykręcać — rzuciłem jeszcze najeżony, ale w gruncie rzeczy ucieszony tą nieoczekiwaną pomocą.

— No dobrze, mówię przecież. Zdrowie podniósł szkło.

— Na budowie — dodał po swojemu Jurek i w pokoju zapanowała wyczuwalna ulga. Wypiliśmy.

— Słuchaj, a coś ty taki dziś mądrych sentencji pełen? — powiedziałem z ciekawością w głosie do Jastrzębskiego. — Dam sobie głowę uciąć, że dzielni zwiadowcy znowu wjechali w bagno. I to na ciężkich koniach do tego! On zawsze wtedy jest czuły na nieprawości świata — dorzuciłem tonem wyjaśnienia do Konrada. — Mylę się, czy nie?

— No, bagno to może za mocno — skrzywił się pociesznie — ale faktycznie różowo nic jest...

— A nie mówiłem?! — puściłem do niego oko. — Możesz uchylić rąbka tajemnicy?

—O tyle. o ile — skrzywił się znowu.

— O ho. ho! — odchyliłem się w tył na fotelu. — To musi być niezły bal! Wiesz chociaż, co się w ogóle stało, czy dopiero to badacie?

Spojrzał na mnie ze złością.

— Coś ty. do cholery! To przecież trwa już prawie rok... — urwał nagle. — Wiemy... Wiem — poprawił się i było to charakterystyczne. Były momenty, że niesamowicie przypominał mi brata i może właśnie dlatego tak się go trzymałem. — Wiem aż za dobrze, co się stało!

— Rok? Jeszcze lepiej! — starałem się go sprowokować, bo wtedy zawsze więcej mówił. Ze złości.

— Był sierpień zeszłego roku — nie zareagował jednak. — Sam środek miesiąca... mówił zupełnie spokojnie.

*

Pogoda zrobiła się mocno nieszczególna i pogarszała się z każdą chwilą. Piękny, pogodny ranek, który służył w ciemną jeszcze kotłnię Morskiego Oka, gdy wychodzili, był już tylko wspomnieniem.

Idąca przodem kobieta przypominała sobie roziskrzoną koronkę grani, zza której wychylała się powoli słoneczna tarcza, barwiąca wszystkimi odcieniami złota ogromny gmach Mięgoszowieckich, aż te ponure urwiska wydawały coraz bardziej utkane z pulsującego ciepła, w miarę jak promienie wydobywały ich rzeźbę, sięgając niżej i niżej, I tak właśnie było dziś rano? Elżbieta była prawie pewna, że to niemożliwe, że ten rozedrgany blaskiem świt musiał być jakimś wspomnieniem zupełnie innego dnia. Tylko którego? W Tatrach była po raz pierwszy od 15 lat. a tamta szkolna wycieczka też już dawno poszła w zapomnienie. Czyli jednak to słońce było dziś... Elżbieta miała wręcz pretensję za tę nagłą i nieoczekiwanie groźną zmianę. Nie wiadomo skąd nadleciał wiatr, początkowo ciepły, później chłodniejszy. Razem z nim napłynęły z zachodu, jakoś ukosem, chmury. Wichura uciszyła się i przez moment zapanował zupełny spokój, tylko widoczność stawała się coraz gorsza, a chmury schodziły błyskawicznie w doliny. Nagle lunął deszcz i wiatr pojawił się znowu. Ale teraz był już zimny, przeraźliwie zimny, zatykający oddech : oślepiający. Byli wtedy jeszcze wysoko, prawie pod granią i deszcz chwilami zamieniał się w śnieg, co było o tyle dziwne, że poruszali się w chmurze. A może to była mgła. a chmury były mimo wszystko wyżej? To zresztą jej nie obchodziło. Dawno straciła resztki spokoju. Chciała, nie, musiała wyrwać się stąd. z tego nieprzyjemnego, odpychającego świata i wrócić na dół. do ludzi. Wrócić. Szybko, za wszelką cenę wrócić!!

— Jak dalej? — stanęła i odwróciła się do idącego za nią mężczyzny. — Słyszysz? Jak dalej?!! Odpowiedz! Nie wiesz, jak iść?! — w jej głosie zabrzmiały niebezpiecznie wysokie nuty. — Boję się! Słyszysz? Boję się!! Boże, ty nie znasz drogi!!!

Drżała. ON nie wiedział, czy tylko z zimna, czy też... Wolałby, żeby przede wszystkim ze strachu. Sam był zupełnie spokojny. Jak miał się denerwować, jeśli taka pogoda była integralną częścią JEGO planu? Natomiast ona powinna zdychać ze strachu! Bardzo dobrze. wtedy zda się całkowicie na NIEGO albo zrobi coś. co tylko ułatwi... Podszedł bliżej.

— Uspokój się! Co się z tobą dzieje? Znam drogę, nie bój się! — musiał to prawie wykrzyknąć. Wiatr był coraz silniejszy.

— Tak. znasz! Znasz, a od godziny kołujemy po tych przeklętych skalach i ciągle nie możemy zejść niżej! Jesteś stale w tym samym miejscu! Sprowadź mnie na dół!! Słyszysz?! Ja chcę na dół!!

— Przestań się drzeć! Od jakiej godziny? Kwadrans, nie dłużej. I schodzimy przecież. Tu tylko tak wszystko jednakowo wygląda przez tę pogodę. Jakbyś się nie opalała na przełęczy, to teraz bylibyśmy już nad Czarnym...

— Było słońce, to się opalałam! A teraz ten śnieg! Dlaczego?... To twoja wina!

—Moja? Czyś ty oszalała?

— Twoja! Twoja! Twoja! Mówiłam, że nie chcę! Może nie mówiłam?! Opiekun, cholera! Tatry zna! Wspaniała wycieczka, zobaczysz, będziesz ją długo pamiętała. A jakie widoki!" — wyrzucała z siebie urywane zdania. — Koniec z nami! Słyszysz?! Sprowadź mnie na dół. jeśli potrafisz, ty bydlaku, i koniec z nami! No. czemu milczysz? Tchórz cię obleciał? Tatarnik! Tak mi gadałeś, a trzęsiesz się jak gówno!

Drgnął jak uderzony.

— Drugi raz już mi tego nie powiesz! — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Nie będziesz miała okazji! Won na dół!!

— Jak ty się do mnie zwracasz?!

— Won. mówię!! — sprawiał wrażenie nie panującego nad sobą. przez moment patrzyli na siebie. — Uspokój się, Elka, też sobie wybrałaś czas na rozwód — powiedział to już znacznie spokojniej.

— Przepraszam —pochyliła głowę. — To te góry... I ta pogoda... Po coś mnie tu ciągnął? — z widocznym przerażeniem rozejrzała się wokół. — Nie wyciągaj mnie już nigdy na żadną wycieczkę! Przyrzeknij, że nie! — złapała go za rękę.

— Przyrzekam powiedział poważnie. — Ale teraz weź się w garść — ujął jej rozdygotaną i spoconą mimo zimna dłoń i poklepał. — No. zaraz się to skończy. Zobaczysz, jeszcze tylko taka grzęda skalna, wielki głaz, parę zakosów i już. Zobaczysz, zaraz będziesz na dole — powtórzył z naciskiem.

Odwróciła się trochę uspokojona, choć jeszcze dobrze czuła mrówki niedawnego lęku. Dziwne, ale po tym wybuchu czuła się jakby lepiej. Wiatr, miotający prosto w oczy kłujące grudki lodu, w które krzepnął deszcz, utrudnia! poruszanie i zabierał resztki ciepła. Starła się je chronić, wyginając plecy w łuk i zasłaniając twarz rękami. Schodziła niepewnie w skos stoku. Stromiał on niepokojąco przechodząc w wielkie płyty, od których powierzchni jak cukierki odbijały się ziarnka gradu. Odwróciła się, tracąc równowagę pod uderzeniem wichury. Mężczyzna ruchem ręki pokazał jej „dalej, dalej", więc znów postąpiła, coraz bardziej niepewnie, kilkadziesiąt kroków. Spozobiegła przez kłębiącą się zawieruchę, że płyty pod jej stopami ucieka-

ją gdzieś w głąb i przechodzą w ponurą czeluść. Kotłowały się w niej mgła z deszczem, tworząc wyraźnie widoczne — co było zaskakujące — nieregularne wiry. Pojawiały się w nich jakieś dalekie lub bliskie — nie można było tego poznać — fragmenty skał. a niżej, w niemożliwej do określenia głębi, trwały ciemne, nie-realne cienie, w których nie można było rozpoznać niczego konkretnego. „Boże, zabłądziliśmy! Na pewno zabłądziliśmy — podejrzenie zamieniło się w pewność! — A ten...”

Pogardzała nim nawet w myślach. Mówił, że dobrze zna te piekielne góry!

Znów poczuła mdlący strach. Stała bezradnie, chwytając się skalnego występu. Był tak nisko, że musiała opaść prawie na kolana. Tyłem, jak rak. chciała się wycofać i wtedy poczuła straszny ból w tyle głowy. Wszystko wokół pojaśniało w jednym mgnieniu, rozkołysało się i zniknęło. Jej ciało przechyliło się w przód i bez jednego dźwięku osunęło na pochyłą, zalewaną deszczem płytę skalną. Poszorowało po niej kilkanaście centymetrów i znieruchomiało.

Mężczyzna odrzucił trzymany w ręku kamień i sam też zastygł w oczekiwaniu— Nic się nie zmieniło Zaklął cicho i ostrożnie przybliżył się do leżącej bezwładnie postaci— Na czworakach przesunął się w stronę przepaści. Zgiętą w kolanie nogą dotykał już leżącego ciała. Zebrał się w sobie, chwycił mocniej rękami za nierówności podłoża i energicznie kopnął prawą nogą. Kilka głuchych, tak dobrze MU znanych uderzeń, głośny łoskot kamieni i wszystko utonęło w szumie wiatru.

Odczołgał się parę metrów od wirującej szarością pustki i podniósł na nogi. Stał tak chwilę z pochyloną głową i twarzą zasłoniętą przez naciągnięty głęboko kaptur skafandra; wreszcie rzutem ramion poprawił nieduży plecak i ostrożnie jał się obniżać w dolinę, kierując się wyraźnie w prawo od ich dotychczasowej trasy. Jego sylwetka już po niewielu sekundach zginęła we mgle.

Półtorej godziny później samotny mężczyzna podchodził drewnianymi schodkami prowadzącymi znad brzegu Morskiego Oka na placyk przed schroniskiem Tu. na dole. wiatr był znacznie słabszy, deszcz też padał mniej gwałtownie. Po prostu równy, nieprzyjemny kapuśniaczek. Pułap chmur jeszcze się obniżył. Siny wał wisiał nad lustrem wody równo z progiem Czarnego Stawu. Mimo to na placyku kłębił się tłum. Gdzieniedzie przeciskały się przezeń postacie w ciężkich butach, z wyraźną ohydą patrzące na tłoczące się przed „wielką panoramą” rodziny, które z udręką wysłuchiwały objaśnień przewodników i kombinowały bezustannie, jak się tu urwać do wypełnionej do granic możliwości jadalni. Druga dekada sierpnia — pogoda nieistotna, program musi być zrealizowany!

—Przecisnął się przez tłum i wszedł na werandę. W .środku było jeszcze tłoczniej. Jakieś dzieci darły się na pięć różnych głosów, ktoś klócił się z kelnerką wykrzykując w zdenerwowaniu słowa, których nikt nie pojmował, gdyż były wypowiedane w najczystszej śląskiej gwarze. Chociaż nic — ^pieroną" się rozumiało.

Na piętrze odebrał klucz i wszedł do pokoju. Na pryzkach obok dwóch młodych chłopaków¹ we flanelowych koszulach grało w karty. Pozbierał swoje i jej rzeczy i wszystko łącznie z małym plecakiem zdjętym z pleców upchał w większym, który' wyciągnął spod dolnej pryczy.

— Cześć powiedział do grających, którzy musieli się dziś wprowadzić, bo wczoraj byli tu inni lokatorzy.

— Czołem — nawet nie podnieśli głów. Wyszedł na korytarz.

— Dziękuję za gościnę, oddaję klucz — odezwał się do ładnej brunetki siedzącej w recepcji.

— Już pan wyjeżdża? — spytała bez specjalnego zainteresowania. Obok siedział wysoki blondyn w czerwonym swetrze. Na piersiach matowo połyskiwała mu owalna odznaka z błękitnym krzyżem. To był partner do rozmowy, a nie ci goście, których i tak ciągle było za dużo.

— Już. Miałem przecież tylko na tę noc. Zresztą — uśmiechnął się moja towarzyszka ma dość— Ta pogoda raczej na dłużej się popsowała i ona woli wracać do Zakopanego. Pognała już na parking, tak się śpieszy...

— Ach te kobiety... — blondyn popatrzył przeciągle na recepcjonistkę.

— Właśnie. Pościel zdałem tej pani...

— W porządku — facet w swetrze wziął od niego klucz.

Na ten widok kilka postaci, które pozornie bez celu snuły się w pobliżu, błyskawicznie „wystartowało” do barierki.

— Wolne? Ile? Marysiu kochana, bierzemy! Jaka kochana? Ilu was jest? Przecież trzech. a tu są tylko dwa...

—Nie szkodzi. Gienek może spać ze mną.

— To jest czwórka, tam już jest dwóch. Drugi klucz mają...

— Marysiu, na jedną noc...

Zszedł niżej i głosy ucichły, roztopiły się w gwarze tłumu w jadalni.

Parking na Włosienicy był zatłoczony. Patrzył na tłum ludzi na przystanku, wzruszył ramionami i poszedł do mającego właśnie ruszyć autosana z jakichś zakładów włókienniczych. Postukał w okno od strony kierowcy.

—Zabierze mnie pan do Zakopca? Stówa...

— Dobra, tylko chwila. Spytam się —młody kierowca odwrócił się w głąb wozu.

Wypadło widać pozytywnie, bo pokiwał głową i ponownie wychylił się przez okno.

—W porządku, siadaj pan.

Do ruszającego już autokaru wskoczyło jeszcze kilku ludzi z przystanku, najwyraźniej też obznajomionych z tą techniką i wóz wreszcie odjechał. Gdyby potem ktoś zobaczył tego człowieka w toalecie elektrycznego pociągu do Krakowa, miałby pewnie powód do zdziwienia. Metodycznie darł on na drobne strzępy dowód osobisty i kawałkami wrzucał w białą kiedyś muszlę.

*

— Tę kobietę znaleziono po kilku dniach opowiadał Jurek. — Zginęła najprawdopodobniej 19 lub 20 sierpnia, a 26 natknęli się na nią taternicy. Zobaczyli ją z góry i zjechali na linach, choć — jak się potem okazało — z dołu też był łatwy dostęp. Mówię, co ustalili ludzie znający tamten teren. Bo ja... — rozłożył ręce. — I góry...

— A gdzie to w ogóle było? — pochylony do przodu słuchałem z napięciem. Nadal na słowo „Tatry” reagowałem jak gończy pies, czując zapach lasu. A przecież...

— Zaraz — zmarszczył czoło — żebym nie pokręcił. Taka trochę dziwna nazwa. Nawet niedaleko tego jeziora nad Morskim Okiem...

— To nie jest jezioro? — wyrwało mi się bezwiednie.

— No dobrze — rzucił trochę niecierpliwie. — To nieważne. To staw. wiem przecież. Czarny Staw. Tak jakoś nad nim, w takiej skalnej rynnie. Żlebie — dokończył wyraźnie zadowolony.

— Ale dokładniej — usiłowałem sobie przypomnieć zeszłoroczne wypadki. Prenumerowałem nadal Tatarnika.

— Mówię przecież — popatrzył na mnie zdziwiony. — Ta góra nazywa się tak jakoś... Mnich czy coś...

— Mnich? To zupełnie w bok. Może Żabi Mnich?

— O właśnie, Żabi Mnich! — ucieszył się. — Nie mam pamięci do tej nazwy. Żabi Mnich — powtórzył, jakby sobie utrwał.

— Jak? — zainteresował się Hederle. — Żabi Mnich? To nazwa góry?

— Tak.

— Niesamowite miana ci ludzie ponadawali kawałom skały — pokręcił głową. — Dlaczego akurat tak?

— Kochani, nie będę wam teraz robił wykładu z topografii i pochodzenia nazewnictwa tatrzańskiego — wrzuciłem ramionami. — Bo inaczej takie i lepsze jeszcze nazwy będą między nami latały jak krasnoludki w bajce dla dzieci, a wy po pięciu minutach zaczniecie ziewać. Wezmę was kiedyś w góry, to tam na miejscu pogadamy.

— O, nie! Dziękuję — Konrad podniósł rękę. — Raz tam byłem na wycieczce szkolnej. Miałem ze 13 lat i pognali nas po obiedzie na tę górę nad Zakopanem... Tę z krzyżem... Giewont — przypomniał sobie i popatrzył na mnie. — Zapamiętałem go do końca życia. Nogi sobie poobcierałem. zresztą jak połowa kolegów, w nocy nie mogłem spać. tak mnie wszystko bolało, bo przewodnik nie miał czasu i pędził jak na wyścigach. Trzy dni chodziłem potem jak połamany. Dziękuję powtórzył. — Wolę swoje morze — pokiwał głową.

Zaśmiałem się. Znałem tę jego awersję.

— Czuję, że nie zrobisz z nas turystów górskich, nie mówiąc o tatarnikach — odezwał się Jurek. — Ja też nie przepadam za tym łażeniem. Woda to jest coś — rozmarzył się. Słońce, wiatr, taka uczciwa czwórka ci gra na żaglach. Lina w garści. O. to rozumiem! A nie wór na plecach i drapiesz się, gdzie cię nie swędzi. Wody ani na lekarstwo, do najbliższego człowieka tylko kilkaset metrów, tyle że... w pionie, a ty jak kot na drzewie. Piękne dzięki...

— Dobrze, w porządku! Coście się tak wzbudzili! Topcie się w tych swoich uroczych fałach, nigdzie was przecież nie wyganiam!

— Teraz już nie dziwiło mnie, że ktoś może nie znosić gór. Sprawa gustu. Ale jeszcze to lat temu uniósłbym się świętym gniewem.

— Nie ma o czym gadać, piecuchy — machnąłem ręką. — Jurek, opowiedz wreszcie dokładnie o tej kobiecie, bo za sto lat do tego nie dojdziemy!

— Czekaj — podniósł się — co będę sobie głowę łamał. Okoliczności znalezienia mam opisane...

Wstał, wyszedł na chwilę do przedpokoju i wrócił z niewielkim, brązowym notatnikiem.

— Mam tu swój kapownik — uśmiechnął się do nas. — I zaraz będzie po kolei...

Zająłem się butelką, a on tymczasem przewracał kartki.

— O. jest! — poprawił się na siedzeniu. — Tę kobietę znaleziono w żlebie spadającym z Biała—
czańskiej Przełęczy Wyżniej... pod głównym spiętrzeniem żlebu. Znasz ten teren? — zwrócił się do mnie.

Czy znam? Ileż godzin włóczyłem się po tych porośniętych bujną trawą upłazach Żabiego, jak nazywała się grań i w ogóle stoki położone z lewej strony Morskiego Oka. Siodła przełęczy, wygrzane w słońcu lub smagane przez wiatr, świetlista dolina Żabich Stawów Białczańskich pod nogami i monumentalne, skalne budowle Młynarza, Gierlacha. Ganku i Miękusowieckich... Lazurkowe Morskie, w którym odbijały się zbocza Miedzianego. Kicz. gdyby nie tak wspaniale prawdziwy, Idealny teren do takich samotnych wypraw bez celu po serii ciężkich wspinaczek lub jakiejś akcji... Głębokie, rozczłonkowane żleby, niżej popodcinane. idąca w górę („do nieba", jak to ktoś kiedyś powiedział) Grań Apostołów i wartownik Żabiej Lalki — śmieszny palec (niektórzy uważali, że niekoniecznie palec) pod ciemnymi urwiskami tego nieszczęsnego Żabiego Mnicha. Miałem im o tym wszystkim opowiadać?

— Znam — odparłem krótko. — Białczańska ma dwa siodła. Spadające z nich krótkie żlebki łączą się. idą kawałek razem, dołącza się jeszcze jeden, z Ciężkiej Przełączki i zaraz potem ucziwy pion. przecięły dwoma kominami. Prawym, patrząc od dołu, idzie droga. Lazłem tam kiedyś. Jest trochę gimnastyki. Niżej już swobodniej. Trawki, płytki, kosodrzewina, krótki żlebek i Czarny Staw.

— Za przewodnika możesz, robić — Hederle patrzył na mnie z podziwem. — Wy wszyscy tak to pamiętacie?

— Swego czasu musiałem. To zresztą nic szczególnego. Połączyłbyś sam tyle co ja...

— Wystarczy, że muszę znać kodeks karny. Jeszcze to i głowa by mi pękła...

— Właśnie tak tam jest — potwierdził Jurek.

— Ciesz się mnie to. że się zgadzasz. Opinia takiego znawcy... — nie mogłem sobie darować.

— Ta kobieta leżała kilka metrów nad taką platformą pod tym urwiskiem — zignorował moje odezwanie się zupełnie. — Spadła z dość wysoka, chyba z tego całego progu. Ale nie wyżej, bo nie ma śladów... Na miejscu. — Trwało to chwilę, zanim pojąłem, że mówi o rezultacie upadku. — Aha, spadła jednak lewym kominem... — popatrzył na mnie.

— Pamiętam, takie białe, wymyte płyty — kiwnąłem potakująco głową. Jak to się stato? To była taterniczka? Jak się tam zapchała?

— Nie była w żadnym klubie — odparł Jastrzębski. — I raczej była pierwszy raz w Tatrach.

— Co? pierwszy raz i chodzi po takim zdrażliwym terenie? Bez żadnych znaków? Sama była?

— To jest w ogóle dziwne — przyznał Jurek i urwał na moment. — No więc tak — podjął. — Jak mówiłem, znaleźli ją wracający taternicy. Przypadkowo zupełnie ją zauważyli... Tak, ale to nieważne. Powiadomili GOPR, ci nas...

— Was? — zdziwił się Hederle. — A to dlaczego?

— To znaczy komendę w Zakopanem... — wyjaśnił Jurek.

— Takie są przepisy — powiedziałem. — przy każdym śmiertelnym wypadku dyżurny dzwoni także do MO.

— Nie wiedziałem.

— To rutyna — podjął Jastrzębski. — Był 27 sierpnia— Dwa dni wcześniej tu. w Warszawie, zgłosił się do komendy na Bródnie mężczyzna i powiedział, że mu żona zginęła. Takie rzeczy idą do ogólnych biuletynów, no i... — skrzywił się, co miało starczyć za wyjaśnienie. — Historia od początku wyglądała niewyrażnie. Bo tak: facet nam mówi, że żona miała pojechać na Mazury z koleżanką i wrócić dwudziestego drugiego. A tu znajdują ją nieżywą w Tatrach. Mąż powiedział, że w ogóle tego nie rozumie, bo żona wcale za górami nie przepadała. pomijając już wszystko inne. A ona jednak w nie poszła i to do tego w miejsce, jak sam powiedziałeś, nie dla nowicjuszy, bo zdradliwe i niebezpieczne. Poszła i zginęła.

—Może samobójstwo? — wyskoczył z hipotezą Konrad.

— To upadło, tam z nią ktoś był — twardo powiedział Jurek.

— Zaraz — powiedziałem po krótkiej chwili, w której przetrawialiśmy jego słowa. — A ta koleżanka? Co z tym mężem, do cholery? Nic wie, gdzie mu kobieta jeździła? Wyjaśnij to. bracie, bo tu się nic kupy nic trzyma!

— Właśnie, dajcie opowiedzieć, bo się pogubicie do czysta...

Uśmiechnąłem się, bo zabrzmiało to zupełnie po góralsku.

— Było tak: ta babka, Elżbieta Koszewska, bo zdaje się nie podałem wam jej nazwiska, miała 32 lata. Od przeszło ośmiu lat była mężatką. Mieli dzieciaka, taką fajną dziewczynkę. Tak... Ona... Nawet trudno powiedzieć, że to było nieudane małżeństwo. Wcale nie. Po prostu może nie było już tego żaru. Ale chcieli być ze sobą i zrozumieli, że ratowanie takiego układu wymaga przerw.

—Czego? — spytałem zaskoczony.

—Przerw w oglądaniu siebie nawzajem — odpowiedział on poważnie. — Od paru już lat jeździli osobno na urlopy w lecie, biorąc na zmianę dzieciaka. W zimie za to byli razem na wczasach. Więc mąż nie był zaskoczony tym jej wyjazdem z koleżanką na Mazury.

— To niegłupie — wolno powiedział Konrad. Po takiej przerwie wzajemny kontaki inaczej wygląda.

— Otóż to. Może to nawet nie jest kwestia braku żaru, jak powiedziałem, a zwykłej mądrości? Nie wiem. Ożenić się dopiero zamierzam... No, więc powiedziała, że jedzie z koleżanką, ale nie była to prawda. Dała jej kartkę pocztową z prośbą o wysłanie do męża. Niezwykle oryginalny chwyt nawiasem mówiąc — dodał ironicznie — ale za to powszechny i dość skuteczny przy dobrej woli drugiej strony. Sama natomiast pojechała z kimś w nie lubiane góry i już z nich nie wróciła.

—Kto to był?

— panie... Konrad — poprawił się Jurek. — Gdybym wiedział, kto to był, to nie mówilibyśmy teraz o tej sprawie!

— Nic o nim nie wiesz? — byłem nieco zdziwiony.

— Prawie — stwierdził ze złością. — Ta koleżanka też niewiele wiedziała. To zdaje się był pierwszy wypadek w życiu tej Elżbiety. Taki ktoś z. boku. Za pierwszym razem raczej jest to dobrze kryte. Tu, niestety, było! U niej w pracy nikt nic nie wiedział. Żadnych telefonów od wciąż tego samego mężczyzny też so-

bie nie przypominali. No, a przecież trudno przyjąć, że pojechała z takim kamuflarzem z kimś. kogo poznała dzień wcześniej. To nie był absolutnie ten typ kobiety. Mąż powiedział, że ona bardzo zwracała "uwagę na pozory. No więc gdzie... A kryła się dobrze, mało widziałem ludzi tak zaskoczonych jak jej mąż. gdy wyszło na jaw, że nic była tam sama. Niestety, musieliśmy mu to powiedzieć. Przyjechała zatem do Zakopanego około to sierpnia, jeśli wyjechała tego samego dnia. co to niby z tą koleżanką... A dziewiętnastego lub dwudziestego zginęła. Raczej dziewiętnastego. Było wtedy poważne załamanie pogody. Wiesz zwrócił się do mnie — rano pięknie, a tu nie wiadomo skąd — śnieg. To podobno często się trafia w sierpniu?

— Tak potwierdziłem. Na palcach jednej ręki można policzyć lata. w których w drugiej dekadzie sierpnia pogoda nie „kucnie" i to tak gruntownie. To się właśnie tak dzieje. Ze środka lata w pół godziny w środek zimy. Tak musiało być.

— Może zabłądzili? Przestraszyli się tej zmiany pogody i... ja wiem... — zastanowił się Hederle — ...stracili głowę. A gdzie mieszkali?

— Czy zabłądzili? Chyba nie. Przecież nie znaleziono tam... jego— pomagał sobie w opowiadaniu gestykulując. — Czyli on się nie zabił. Więc raczej normalnym odruchem byłoby po zejściu zawiadomić GOPR. że tam w górze została kobieta. Przecież mógł prosić o dyskrecję, jak się bał. żeby się nie rozniosło. GOPR nie ma — o ile wiem — w zwyczaju trąbić gdzie, kogo oraz z kim...

— Oczywiście — wzruszyłem ramionami. — Ciocię Dulską z nich robisz?

O mały włos nie powiedziałem; „z nas". A ten rozdział przecież się skończył...

— No więc. Nawet jeśli był w szoku, to ile to mogło trwać? Przecież nie rok. A tyle już trwa! Nie. kochani, ten gość. co z nią był. zabił ją na zimno, jestem tego pewien! I nieważne, czy ją sam zrzucił, czy zostawił w beznadziejnej sytuacji— Na jedno wychodzi. A ja o tym draniu nic nie wiem! Z mieszkaniem też krewa — obrócił się do Konrada. — Musieli mieszkać, jak większość przyjezdnych, na dziko, u górali. Wiecie, że o meldunku w takim wypadku nie może być mowy. Szukaj wiatru w polu — był wyraźnie podenerwowany. — Więcej wam powiem. Oni byli jedną dobę w schronisku. W Morskim Oku. Z osiemnastego na dziewiętnastego. Pasuje.

— No to masz nazwisko. W recepcji dajesz dowód — rozłożyłem dłonie.

— Gówno! — powiedział z jeszcze większą złością. — Fałszywe dane. Zameldował się pod nazwiskiem faceta, który nie istnieje! Miesiąc sprawdzania najróżniejszych kombinacji danych, które podał — pokiwał głową.

— A personel schroniska? — Konrad uniósł brwi.

— Przy tym ruchu? Po dwóch tygodniach? Recepcjonistka podała niepewnie jakiś rysopis, skonfrontowaliśmy z inną obsługą... — machnął zrezygnowany dłonią. — Dość wysoki, a może wyższy brunet, a może trochę jaśniejszy... A może wręcz blondyn?

— Tak — przerwałem. — Rysopis bardzo dokładny. To mogę być na przykład ja.

— Albo ja — dorzucił Hederle.

— Nie przerywajcie, do diabła! Przepraszam — zreflektował się — ale sami widzicie... Dotarliśmy do ludzi, którzy z nimi mieszkali w pokoju, w „czwórce". Akurat dziewiętnastego się zmienili. Ci z wieczora pamiętali jak na złość tylko tę Elżbietę. Nic w tym dziwnego. mogła się podobać, sadząc ze zdjęć. Jego za to prawie w ogóle. Też takie „może, może"... A ci drudzy widzieli go dosłownie parę minut. Wpadł do pokoju,

zebrał rzeczy i cześć. No to i oni „cześć”. Grali zresztą w karty, szlag ich trafiał na pogodę, bo chcieli, jak mówili, coś „zakosić” — uśmiechnął się — a tu ten deszcz...

— Co? Chcieli coś ukraść? — Konrad osłupiał. — Co ma tu pogoda?

— Nie ukraść — teraz ja się roześmiałem. — To taki slang. „Zakosić”, czyli zrobić, przejść jakąś skalną drogę!

— Więcej jest takich terminów?

— Oczywiście, ale to chyba nieważne?!

— Na pewno — Jurek nie był zachwycony tym zboczeniem z tematu. — No i tak kręcimy się w kółko. Rok mija i właściwie stoimy w miejscu. To na dobrą sprawę wszystko — powiedział z widocznym zastanowieniem. — Tak, raczej tak, bo przecież nie ma sensu opowiadać o przeróżnych teoriach i hipotezach, a było ich sporo, które wcześniej czy później upadły. Jak choćby ta z samobójstwem czy zabłądzeniem... No i co o tym sądzicie? popatrzy! na nas z wyczekiwaniem. — Może, cholera, wam coś do głowy wpadnie?

— Widzę, że ciebie desperacja opadła, jeśli uważasz, że po tak pobieżnym przedstawieniu faktów, siedząc przy gorzale, trafimy na ślad umykający hordzie ludzi przez rok — pokiwałem głową. — I techniki nam bracie, brak, techniki! Twej instytucji potęgi i ostoi!

— Nie wygłupiaj się — skrzywił się w odpowiedzi. — Co cię ugryzło? Wiesz dobrze, że techniki nie uważam za podstawę! A najważniejsze rzeczy powiedziałem! Znacnie je prawie jak ja! Zostaje tylko potężna otoczka szczegółów, które mogą być śmieciami...

— Tak. I my nie skażeni tą wiedzą, o jasnych umysłach dzięki temu... Podtrzymuję, stary—, tezę o desperacji!

— Gryzie mnie to — przyznał z niechęcią. — Tu gdzieś jest hak, w tych danych! Nic tak nie męczy, jak taka świadomość połączona z niemocą!

— Ja bym nie odrzucał tak pochopnie założenia o pobłądzeniu — wolno powiedział Konrad. Z pewną modyfikacją. No bo wyobraźmy sobie: dwójka ludzi na trochę dzikiej eskapadzie. Chodzi mi o tę wycieczkę i w ogóle o cały wyjazd. Ona nie zna gór zupełnie. On chyba tak. Może gdzieś przez te kilka dni połązili, ale chyba trudno się spodziewać, że jej to coś trwałego dało A może...? — popatrzył na mnie.

— Nierealne. On ją musiał ciągnąć, i to zdrowo. To naprawdę nie jest, mimo wszystko, teren dla nowicjuszy. Musiała być mocno przerażona — stwierdziłem zdecydowanie. — Z Tatrami człowiek nie oswaja się w tydzień! Widziałem rezultaty takich prób!

— No właśnie! — klasnął w ręce. — Czyli chodzi trochę pod przymusem, jeszcze ta nagła zmiana pogody... Na pewno wywołało to u niej coś w rodzaju hysterii Pokłócili się. Zaczęły się nerwy...

Słuchałem trochę zaskoczony. Faktycznie, konstruował to zrećźnie. Może naprawdę coś w tym było? Ale nie! Przecież...

— Konrad! — przerwałem. Zaraz. Przecież jeśli nawet tak było. Nie tłumaczy to jej śmierci! Sam powiedziałeś że on musiał choć trochę znać góry. W takim układzie ktoś taki ma jednak u tego drugiego jakiś autorytet!

— Przesadzasz! A jeśli on się przechwalał? Pozował na taternika, a tu pogoda się zmienia i wielki pan taternik nie wie, co robić? To jest bardzo częste, szczególnie w kontaktach tego typu. Mówię jako adwokat, możecie mi wierzyć! Wtedy zaczynają się lawinowo nakładać nie kontrolowane odruchy i w sumie mogą

dać tragedię! On jej nie musiał na przykład w gniewie zepchnąć. Sama mogła się pośliznąć, zlecieć i zabić się. On się przeraził. No bo przecież tak to kryli, a tu z takim hukiem wychodzi wszystko na jaw. Dotarł do niej. zobaczył, że zginęła Nic jej już nie można było pomóc. A jemu mogło to zaszkodzić! Prawda? Więc siedzi cicho!

— Bracie, co ty gadasz? — mimo wódki nie chciało mi się wierzyć.

— Słyszałem i widziałem lepsze rzeczy, nie bój się!

— Ja też — cicho odezwał się Jurek. Andrzej pewnie także. Wszystko pięknie wygląda...

— Zaraz — doszedłem już do siebie. — Konrad, powiedz, co to zmienia? Przecież i w tym wypadku jest to morderca! Nieudzielenie pomocy. Umyślne. Zgon może stwierdzić tylko lekarz... Chwila! — pode-rwałem się. — A może to właśnie jest lekarz?!

— Może — tak samo jak przedtem powiedział Jurek. — Tylko powiedzcie mi. czemu on się meldował w schronisku pod fałszywym nazwiskiem? Przecież nie ze względów moralnych, bo sam diabeł, nie mówiąc o mężu. nie sprawdzałby książki meldunkowej schroniska w Morskim Oku, żeby dowieść zdrady żony!

Zamilkliśmy. Konrad myślał nad czymś intensywnie.

— Nie jestem pewien... — zaczął, ale nie skończył.

— A co ty powiesz, detektywie amatorze? — Jastrzębski zwrócił się bezpośrednio do mnie.

— Do tablicy wystap? Niech ci będzie, zawodowcu. Nie mam. co prawda, za dużo do powiedzenia, bo nadal utrzymuję, że za mało wiemy...

— Żebyś wiedział — przerwał z kolei on.

— Za mało wiemy — podjąłem. — Ale tak:

jest to facet, który dobrze zna Tatry. Teren jest wybrany, jeśli przyjmiemy, że zabija z premedytacją — z czym ja osobiście się raczej zgadzam — nieźle, żeby nie powiedzieć: dobrze, pod fachowym okiem może tam poruszać się i nowicjusz tak na granicy swych możliwości. W dobrych warunkach pogodowych to go może nawet bawić. Takie mi ni—tatarnictwo. On parę dni temu przyjechał, a tu proszę! Jak to jeszcze jest układ kobieta — mężczyzna... Odpowiednio rozgrywany... Tak. Premedytacja jest to raczej na pewno, jak powiedziałem, choć ta teoria Konrada też trzymała się kupy. Wiesz, przy załamaniu pogody są skoki ciśnienia, to potrafi działać na ludzi jak ostrogi. Jesteś żeglarz, to sam musiałeś się z tym spotkać — zwróciłem się do Jurka. — No! Ale ten umyślnie fałszywy meldunek wyjaśnia sprawę.

— Czy wy go nie przeceniacie? — Hederle nie dawał za wygraną. — Może to był dalszy ciąg asekuracji? W Warszawie chronili się do granic możliwości!

— Teraz ty nie przesadzaj — zaoponowałem. — Jakich granic możliwości? Zwykły elementarz, tylko konsekwentnie stosowany! To naprawdę wystarcza! Tu zresztą nie chodzi tylko o ten meldunek. Cała aura tej sprawy wskazuje na to, że on chciał się tej kobiety pozbyć w sposób ostateczny. Daj spokój, bo tak dyskutować możemy do rana — przerwałem jego widoczną chęć protestu. — Jest jeszcze jedna, najważniejsza rzecz, o której nie powiedziałaś, Jurek. Motyw. Dlaczego ona zginęła?

— I to ty o to pytasz? — był wyraźnie zdziwiony. — Andrzej, gdybym wiedział, dlaczego, wiedziałbym kto!

— Kto miał korzyść, ten popełnił — z namaszczeniem wygłosił Hederle.

— Właśnie o to chodzi. Ma pan... masz rację.

— Mogę to powiedzieć po łacinie — pochwalił się Konrad. Oczu nie miał jednak wesołych. Przeciwnie, cały był jakiś taki poszarzały. Najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie po tym procesie. To była naprawdę niezła harówka! Inna sprawa, że alkohol też robił swoje... Rozmowa zaczęła mieć ten charakterystyczny, rwany przebieg.

— Czyli tu jest klucz...

— Aleś odkrył Amerykę... Możliwości są setki.

— Choćby zemsta.

— Albo jakaś forsa...

— Słucham, słucham, macie naprawdę niezłe pomysły — Jurek stał się nagle ironiczny.

Niespodziewanie uraziło mnie to, więc zamilkłem. A niech się sam w takim razie katuje, znawca jeden! Zająłem się gorzałą. Natomiast Konrad zaczął wymyślać coraz to nowe powody, które Jastrzębski przygważdżał w paru zdaniach. Przesiałem tego właściwie słuchać i włączyłem się dopiero, gdy usłyszałem, jak Konrad mówi;

— Wiecie co. mam już dosyć. Bez. urazy. Andrzej, ale pójdę.

— A która to godzina?

— Po jedenastej.

— Co? — Jurek aż się podniósł. — O. bracie — zarzuciło go nieco — to i ja uciekam. Jutro z rana mam cyrk. że proszę siadać.

— No, a dlaczego ty? — spytałem Konrada. Nie chciałem jeszcze zostać sam.

— Nie widzę na oczy — odparł dość niewyraźnie. — Zdaje się, że w ogóle jestem mocno przemęczony.

— To wyjedź gdzieś.

— Chyba tak zrobię, bo do czego to podobne, żeby tak wcześnie mnie zginało — przytaknął potulnie.

— Odwiedź to swoje płaskie i nudne morze — machnąłem lekceważąco ręką. — Jodu się nałykaj i wracaj bronić tych swoich ukochanych pacjentów.

— A może chcesz pojechać do naszego ośrodka? — wyskoczył z nieoczekiwaną propozycją już w drzwiach do przedpokoju Jurek.

— A gdzie to jest? A zresztą nic. dziękuję! — Konrad śmiesznie zatrzepotał rękami jakby Oganiał się od owadów. — Ja sobie zawsze tak prywatnie jeżdżę...

— A ile zapłacisz? A u nas... Przekomarzając się wyszli. Od chwili, kiedy stało

się to nieodwołalne, czekałem, aby—zostawili mnie jak najszybciej. Przez krótką chwilę słuchałem jeszcze cichnących głosów na klatce schodowej, bo oczywiście nawet nic pomyśleli o windzie, po czym wróciłem do oświetlonego małą lampką pokoju.

W ostatniej butelce zostały co najmniej dwie setki. Bardzo dobrze! Czyżby? Wziąłem lśniące naczynie w dłoń delikatnie, jakby parzyło i przybliżyłem do twarzy.

— Ty dziwko —. powiedziałem z bezsilną nienawiścią i ostrożnie, aby broń Boże nie rozlać, przelałem całą zawartość do pustej szklanki, w której przedtem piłem wodę mineralną. Zapełniła się prawie po brzegi. —Upiłem trochę, zupełnie nie czując smaku, jakbym pił właśnie wodę i podszedłem do regału, na którym stał gramofon i reszta sprzętu. Na początku, zaraz po ich przyjściu, próbowałem coś puścić, ale przeszkadzało to w rozmowie, więc dałem spokój. Teraz czułem, że jest to konieczne. Miałem tę słynną chwilę niesamowitej wręcz jasności umysłu i precyzji myślenia, jaka czasami trafia się przy wódce, z tym że nigdy w pierwszy dzień. Wyciągnąłem na chybił trafił płytę, patrząc ciekawie, cóż się mianowicie trafiło? *Mad man* Erica Burdona. Nie mogło być lepiej! Włączyłem, zaczynając od *As the years go passing by*. Wolno wycofałem się na fotel słuchając, jak ta przerażająca melodia wypełnia pokój. Spokojnie, nieledwie w rytm, drobnymi łykami opróżniłem szklankę, wiedząc dokładnie, co się za chwilę stanie. Wszystko zaczęło tracić swe wymiary i kontury...

Położyłem wreszcie tę plastikową, czarną tarczę i wciąż tak samo, z prawą ręką na ścianie, powlokłem się do kuchni. Czajnik miał dwa litry i był pełny wody, ale to się nie liczyło. Odstawiłem go dopiero jak był pusty. Znow ta lepka słabość... Jednak po chwili poczułem się lepiej. Wiedziałem jedno. Dość! Ani kropli alkoholu więcej, jeśli chce dalej w miarę normalnie żyć! W przeciwnym razie ten uroczy ptaszek razem ze swym opiekunem bez twarzy wykończą mnie szybciej, niż to sobie można wyobrazić. Nie chodzi tu wcale o śmierć. Wręcz, przeciwnie, jest ona wybawieniem, z tym że człowiek tak łatwo nie umiera. Czy może być coś gorszego od codziennej, nieustannej modlitwy o śmierć, gdy nie ma się nawet tyle siły, żeby załatwić to samemu? Bo jest się łachem, który jeśli ma przebłycki woli, to przypomina ona jedynie twardość szmaty wyciągniętej na mróz? Więc dość. Znałem takiego Krzyśka. Do niego przychodziła taka duża ośmiornica i ołowianymi żołnierzycami grała z nim w wojnę w fałdach brudnej pościeli, gdzie głównie wegetował. Zawsze wygrywała i za karę kazała mu przetapiać te figurki na żywy, roztopiony ołów. Wlewała mu go następnie do ucha. Można powiedzieć, że go zawodowo załatwiała, bo był kiedyś krytykiem teatralnym. Dobrym krytykiem... Źle, nie tak. Ona mu groziła, że to zrobi i to było najgorsze. Tak mi opowiadał i ja mu wierzyłem. „Boże kochany, niech ona wreszcie to zrobi i niech się to skończy” — szeptał mi kiedyś nieprzytomnie, a ręce trzęsły mu się tak, że wylało się prawie całe piwo, które miał w szklance. Właśnie o to chodzi! Wolno ci skończyć wtedy, kiedy chce przyjaciel, nie wcześniej. Czasem jest wspaniałomyślny i... Czyta się o samobójstwach alkoholików. A czasami masz niesamowite szczęście — nie wytrzymuje ci serce. No, ale to los na loterii.

Myślałem coraz logiczniej. Radosny Ptak Drongo pojawił się już trzeci raz, w ciągu mojego nie tak długiego życia. Zgoda, że po prawie czterech latach i że powody, o których nie będę tu pisał, są poważne. Ale jednocześnie poczułem, że oto nadszedł punkt, poza którym albo pozostaję człowiekiem, albo ptaszę będzie mnie karmiło z dzioba. Wynik wiadomy. Wszystko jasne. Tylko żadnej chemii! Nie zatruwać tej jedynej szansy kontaktu mózgu z ciałem!

Przysiadłem na twardym i niewygodnym taborecie i starałem się dojść do ładu z tym wszystkim. W redakcji sytuacja, że lepiej nie mówić. Trudno. Zaniosę to sprawozdanie i biorę urlop. Nie wiem, jak rozliczę te ostatnie dni, ale jakieś trzy tygodnie powinienem jeszcze ustukać. Zatem urlop i jak najdalej od Warszawy! Góry — to była moja ostatnia szansa...

Rozdział II

— Możesz jechać, jestem na przełęczce — dobieg! mnie z dołu lekko zniekształcony głos Maćka.

Jego samego nie widziałem. Mgła. W jej leniwie pulsującej, zbitej masie dostrzec można było tylko najbliższe trzy, cztery metry gładkiej, opadającej bardzo stromo granitowej płyty. Reszta ginęła w szaropielatej, szarpanej przez wiatr watolinie. Z lewej miałem kamienne ciało turni— z której przed chwilą zjechałem, też, roztopiające się w tym skisłym mleku dookoła. Wyłaniały się z niego szorując nieco po skale, drgające żyły lin. Ich barwne sploty wydawały się być dziwnie przygaszone i stonowane panującą wilgocia i brakiem jakiegokolwiek głębi widzenia. Sprawiały wrażenie ciągłej jakiegoś mechanizmu.

Ta nieprzyjemna w gruncie rzeczy sceneria nie obchodziła mnie specjalnie. Więcej, była mi wręcz obojętna. Nie po to przyjechałem w góry i od dwóch przeszło tygodni laziłem po nich jak opętany, żeby teraz przejmować się nie najlepszą pogodą! Nawiasem mówiąc spodziewaliśmy się dzisiaj właśnie takiej.

Stałem w nieznacznym wgłębieniu pochyłej, malej grańki opadającej spod wierzchołka Zadniej Tomkowej Igły ostro na południe. Spojrzałem na zegarek... Nieźle. Byliśmy w ścianie dopiero parę godzin i już tak wysoko... A był moment, że o mały włos w ogóle musielibyśmy zrezygnować z pójścia.

W tym trzecim, ostatnim tygodniu —jeszcze do mnie nie dochodziło, że za sześć dni muszę wracać do Warszawy — chciałem pochodzić trochę w okolicy Morskiego Oka. Plan prezentował się bez zarzutu. Maciek miał samochód, więc zapakowaliśmy bladym świtem plecaki ze sprzętem i zasadniczym prowiantem na te dni do bagażnika wozu. po czym chwając głośno ten środek lokomocji ruszyliśmy. Mieliśmy zamiar zostawić auto na włosienickim parkingu, ciężkie plecaki na razie w schronisku, a sami. w zależności od pogody, przymierzyć się do wschodniej ściany Mięguza lub zachodniej Niżnich Rysów. Co dalej, zobaczymy...

Niestety, te niewygórowane zda się żądania zostały zniweczone zaraz za Łysą Polaną. Że ja. to rozumiem, ale że zakopiańczyk Maciek mógł zapomnieć, że w tym roku dalej samochodem nie wjedziemy, nie mogłem pojąć! Było nieco po szóstej, kiedy trzasnęliśmy drzwiczkami fiata, a pierwszy autobus, nazwany raczej nie przez poetę „wahadłem” teoretycznie odjeżdżał o ósmej. Dziękuję! Zanim dotarlibyśmy pod ścianę, byłby akurat czas. żeby rozpaść maszynkę i ugotować kolację. Kręciliśmy się w desperacji po pustym póki co placu, posługując się zadziwiająco podobnymi słowami. Nagle, jak w pięknej bajce, kiedy przysiadłem już zupełnie zrezygnowany na bagażniku auta nie chcąc tracić sił nadaremnie, ujrzelśmy jadący samochód zaopatrzenia. Maciek znalazł prawie całe Zakopane, wystarczyło więc. że podniósł rękę...

Na placu przed schroniskiem zajechaliśmy z fasonem parę minut po siódmej. Wskoczyłem ścierpnięty z samochodu i niecierpliwie rozejrzałem się dookoła.

Tyle razy tu byłem! Znałem ten widok chyba lepiej od własnego, zazwyczaj pustego, portfela, ale zawsze czułem się, jakby to był pierwszy raz... Monumentalna bryła tak bliskiego mi szczytu naprzeciwko, powiększona w dwójnasób odbiciem w stawie, obłe, jakby sarkastyczne w wyrazie Miedziane z prawej, przetrnięte skosem tej przeraźliwej „ceprostrady”. przyprawiającej o obłęd każdego w miarę normalnego człowieka i jaszczurczy grzebień Żabiego z lewej strony, nikiący w dolinie za plecami... Widziałem ruchome punkty, niektórzy wyszli już w góry. Kilku rozciągnęło się na olbrzymim zakosie ścieżki na Szpiglasową i pomалу pogrążało się w szaleństwie kontemplując uroki tej drogi, o której tak ciepło przed chwilą wspominałem. Na niej ktoś kiedyś naprawdę zwariuje w jakieś suche i gorące lato... Do Czarnego też podchodziła jakaś dwójka — ruchome punkty w ogólnym bezruchu. Pogoda na razie była piękna, ale...

— Coś mi tu, panie Maćku, pachnie nie za ładnie — pokazałem na niesamowicie wyraźną rzeźbę skał.

Ściana Miękusowieckiego zdawała się wprost zwałać na nas. Była nie dalej niż na wyciągnięcie dłoni.

— Kucnie, draństwo. jak nic — skrzywił się zagadnięty, drapiąc małą modą podbródek. Miał taki lik, gdy się zastanawiał. Ta pogoda jest za ładna! O. masz! — wskazał na kilka niewinnych, białych cirrusów, które cicho wysunęły się zza Cubryny i lśniły na nierealnie niebieskim niebie.

Przepakowaliśmy w jadalni graty, biorąc to, co potrzebne, do dwóch małych horolczek. Resztę zostawiliśmy pod opieką przypadkowo spotkanego kolegi Maćka, który dwa dni temu skręcił nogę i teraz kłął ponuro na werandzie, patrząc w świat skał za oknem. Zajęło nam to niewiele czasu, a jednak kiedy wyszliśmy z powrotem na dwór, chmur było już znacznie więcej.

— To co? Niżnie Rysy przez Igiełki? — pokiwał głową mój partner.

— Na to wygląda. Z Mięgusza trzeba się telepać parę godzin w dół.

— Idziemy. To kucnie niezawodnie — spojrział w górę z niesmakiem — a tam możesz w każdej prawie chwili prysnąć do ścieżki na Rysy. Zejście też swobodne.

Zbiegliśmy czym prędzej na brzeg Morskiego, gdyż placyk zaczął się zapełniać pierwszymi wycieczkami. Przeczucie nas nie zawiodło. Gdy wiązaliśmy się na piargach pod skałami grzędy, schodzącej niewysoko nad Czarny Staw, z Koła pod Rysami wylał się — nie mam na to lepszego określenia — bezdenny sagan mgły, której czołowe wiry z niepojętą jak na tak leniwe zjawisko szybkością przeleciały nam ukośnie jakieś sto metrów nad głowami i opadły z lewej strony, jakby wczepiając się w rosnącą tam gęsio kosówkę.

— W porządku — usłyszałem Maćka.

Kątem oka zauważyłem, że skończył już asekuracyjne manipulacje i przełożył linę przez biodra. Właściwie teren nie zmuszał od razu do ubezpieczenia, ale...

— Jestem gotów.

Wiedziałem, co teraz powie i ta gwara była wspaniała i nieodzowna.

— Chybaj z Pane Boge!

Poklepałem skałę nieomal rytualnym gestem. Przepelniał mnie spokój, cudowny, nie do opisanego spokój. I jeszcze to coś — czego nie podejmuję się nawet spróbować opowiedzieć. Można to skwitować lekceważąco: kawał poszarpanego granitu. Był jednak mną, gdy wyciągnąłem najwyżej jak się dało lewą rękę, drugą rozpiąłem w prawo skos, łapiąc za wyraźny występ skalny, stopę zaś wklinowałem w małą ryskę na wysokości prawie mojego pasa i oderwałem się od piargów...

— Hej, do cholery, co się dzieje?! Śpisz?! — zahuczało w nieokreślonej głębokości pode mną. Mgła zmieniała wszelkie proporcje i nawet z głosem robiła, co chciała. Ale jakby rzedniała ku górze.

— Mówiłem przecież, że możesz jechać!! Dobra Żyję, nie śpię — odparłem trochę bez sensu.

Tkwiałem wciąż na tej grańce. Ująłem niebieską luźną linę i przełożyłem ją pod udem wchodząc w klucz. Ogarnąłem jeszcze raz wzrokiem stanowisko i odpychając się miarowo nogami od prawie pionowej płyty zjechałem kilkanaście metrów na wąską, jakby wyrąbaną toporem przełączkę. Gnieździł się tu Maciek, nerwowo podzwaniający sprzętem.

— Coś ty tam rodził? — spytał z kpina i wyrzutem.

— Pogodę.

— Co?!

— Pogodę. Przejąśnia się, bracie — klepnąłem go w plecy. — To świństwo opada w dół i zaraz wyjdziemy na słoneczko.

— Słońce, plaża, piękne dziewczyny — pokazał na jednolicie szary kłęb pod nogami. — Czy ty masz... — spojrzał w górę i urwał.

Kopuła nad nami bielą z każdą sekundą i jaśniała, jakby zmieniając się w matowe szkło. Zaczęła się rozchodzić i na moment błysnął błękit. Zbiegła się ponownie. Znow poszarzało, ale my wiedzieliśmy, że tam, już niewysoko, jest piękna pogoda.

Dosięgnęliśmy jej na wielkim tarasie tuż pod przewieszonymi skałami, których pokonanie było właściwie ostatnią trudnością drogi. To było niesamowite. Na platformie stało się jeszcze we mgle, a te kilka metrów wyżej, gdy sapiąc wywindowałem się krótką, ale męcząca ryską nad uskok, znalazłem się w pełnym słońcu. Maciek doszedł do mnie. obchodząc uskok krawędzią od lewej i też z wyraźną rozkoszą wystawił iwarz do promieni. Nie śpiesząc się. a przez to niespodziewanie szybko, przeszliśmy jeszcze dwa zęby skalne i grzęda rozpląszczyła się ostatecznie, przechodząc w łatwy teren. Muszę się przyznać, że nie lubię takich końcówek dróg. Wolę. jak są do końca uczciwe trudności. A tak — niby przecież nie będziesz w takie skałki wbijał haka, ale właściwie nie miałbyś nic przeciwko temu. przepaść wcale nic mniejsza, choć znowuż można by biegać z rękami w kieszeniach! Paru już tak biegało... Teraz bawią— się w berka ze świętym Piórem.

Usiedliśmy tuż pod szczytem Zadniej Turni Niżnich Rysów, czyli na ich zadku, jak powiedział Maciek, i przez chwilę nie mówiliśmy nic porażeni widokiem.

Dookoła jak okiem sięgnąć trwało nieruchome, lekko pofałdowane, białe morze. Tkwiły w nim wyspy dziwnie dziko pobrużdżonych wierzchołków turni. Stał potwornego ogromu Gierlacha, rdzą słońca podkreślony archipelag Batyzowieckiej Grani, czerń Ganku i piękny, głęboki fiolet Wysokiej. A nie opodal rozjarzone Mięguszowieckie...

—Posiedź tu trochę — powiedziałem do Maćka pełen radości. — Skoczę tylko na chwilę do jaskini.

Uśmiechnął się.

— A leć! Zrobię coś do jedzenia przez ten czas. Faktycznie, gdy po półgodzinie wróciłem, zagotował nawet wodę na herbatę. Nie mogłem ominąć okazji i nie wpaść do Tomkowej. śmiesznej granitowej dziury w żlebie spadającym pomiędzy głównego i południowego szczytu Niżnich Rysów. Spałem tam nawet kiedyś przez dwie noce. co było dużym poświęceniem na rzecz gór. bo po wodę trzeba było lecieć piekielny kawał w dół..

— Mam pomysł — oznajmiłem, gdy się posilił. — Zobacz, co się dzieje — ogarnąłem ręką świat wokoło. Po co wracać tak od razu do chałupy? Zejdźmy sobie pomalutku na Białczańską Wyżnię... No. co?

Nieprzypadkowo z nim najbardziej lubiłem chodzić w góry. Podniósł się. skrzywił w uśmiechu i przymrużył jedno oko. Zrozumieliśmy się bez zbędnych słów.

Gdy po prawie dwóch godzinach stanęliśmy w szerokim i głębokim wcięciu północnego siodła Białczańskiej Przełęczy Wyżniej. byliśmy już solidnie zmęczeni. Pogoda znow zaczęła się pogarszać. Mgły szły do góry. a może tylko rozrastały się? W każdym razie podchodziły szybko pod przełęcz i nim zaczęliśmy się

obniżyć, pochłonęły nas wraz z nią. Ostrożnie, bo teren był kruchy i zdradliwy strome, mokre trawki — ze-
szliśmy prawie do miejsca, gdzie odgałęział się wąski zachód pod ścianą Żabiej Lalki.

— Idziemy? — Maciek pokazał na tę półkę. —Potem przez Apostoły wyjdziemy na samo schronisko.

—Wiem. ale nie chce mi się podchodzić, a ta droga kołuje po stoku — stwierdziłem z niechęcią. —
Chodź, zejdziemy normalnie nad Czarny Staw.

— Ty masz dzisiaj motorek — skonstatował z męką w głosie. Nigdzie z tobą więcej nie pójde bez okre-
ślenia limitu kilometrów!

Nie oponował jednak dłużej, tylko zaczął szybciej schodzić. Żleb stromiał. Odbiliśmy w prawo obcho-
dząc wielkie urwisko, w jakie przechodził, i wtedy, dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że idziemy w okoli-
cy, o której opowiadał mi i Konradowi Jurek Jastrzębski.

—Wiesz — zwróciłem się do Maćka — tu się wydarzyła dość dziwna historia, jakoś tak rok temu...

Rozmawiając z. ozywieniem, bo sprawa go widocznie zainteresowała, przeszliśmy niepostrzeżenie
prawie całą resztę drogi. Miałem w tym swój cel. Chciałem na ten temat pogadać z ludźmi z GOPR—u, a
było mi trochę niezręcznie, bo przecież... I o tym nie będę pisał. Nadal wymieniając uwagi znaleźliśmy się
ponownie w żlebie, już pod jego głównym spiętrzeniem.

— Słuchaj. Andrzej, podejźmy ten kawałek w górę pod próg?

Spojrzałem. Ładny kawałek!

— Ja wiem? powiedziałem niezdecydowany. — Właściwie po co? Ściemnia się już...

— Nie przesadzaj. Dopiero czwarta! Najpierw ganiasz mnie po całych Tatrach, potem opowiadasz, że
ktos tu stuknął kobietę, a teraz nie chce ci się przejść paruset metrów?

— No dobrze, chodźmy. Słowa te padły jednak w przysłowiową próżnię, gdyż już wcześniej odwrócił
się i pognał w górę. Dogoniłem go dopiero na trzecim prożku. Stał na nim i patrzył na coś.

— Płacą ci za bieganie? — wysapałem i chciałem dorzucić jeszcze parę uwag. ale zamilkłem na widok
jego twarzy.

— Ty, zobacz, co to jest — powiedział wolno, pokazując palcem.

Spojrzałem. Obszerna trawiasta depresja, na skraju której staliśmy, przechodziła w ponury, oślizgły
komin. Nim właśnie wiodła dalsza droga. U jego podnóża zauważyłem czerwony plecak z aluminiowym
stelażem.

—Plecak — poinformowałem go. — Plecak, być może z bombą zegarową, ale stąd nie widzę. Co w tym
dziwnego, że tu leży plecak. Kłos tu musi być... Hej!... — zacząłem krzyczeć, lecz on złapał mnie za rękę.

— Czekaj, do diabła! Nie widzisz?! Plecak, ale jak on wygląda?!

Postąpił kilka kroków, ja za nim i teraz dopiero zobaczyłem. Musiał zlecieć z dużej wysokości, był po-
rozrywany, obok leżało kilka drobiazgów, a stelaż był powyginany i w jednym miejscu nawet pęknięty.

—Nie podoba mi się to — powiedział Maciek wolno.—Cholernie mi się to nie podoba.

Staliśmy przy worku. Nagle wyżej dostrzegłem jakąś puszkę, czy coś takiego. Leżała w kominie, na
stopniu skalnym. Pokazałem mu to. Bez słów zdjął swój plecak i wyciągnął linę...

Szedł pierwszy. Dotarł właśnie do głębokiej nyży w kominie, gdy naraz stanął i zamarł w bezruchu. Doleciało mnie jego ni to sapnięcie, ni to westchnienie. Zrozumiałem. z przerażającą jasnością zrozumiałem, zjechał do mnie. Miał zmienioną twarz.

— Tam,.. — pokazał ręką. — Tam... leży kobieta!

Od paru sekund w gardle narastał mi lodowały kłęb, który rozprzestrzenił się na całe ciało. Było we mnie coś. co pozwalało mi działać ze spokojem wtedy, gdy inni tracili głowę. Zwłaszcza wtedy...

—Spokojnie, chłopie — usłyszałem własny głos. — Przecież to nie pierwszyczna. Żyje?

— Raczej nie,..

— Raczej? — pokiwałem głową. — Asekuruj! Leżała wbita pomiędzy skalne nierówności.

Boże kochany! Starając się do minimum ograniczyć oględziny, rozchyliłem jej ubranie. Zamknąłem oczy i zbliżyłem ucho. Nie wierzyłem! Serce biło!! Podziało to na mnie jak ostroga. Błyskawicznie zbudowałem murek z zalegających tu kamieni, bo ona leżała prawie nad samą zerwą, i kopnąłem się do Maćka, który stercza! poniżej.

— Żyje. stary!!!

— Co?!

— Żyje. słyszałem jej serce! Tu chodzi o minuty! Grzej, ale najszybciej jak możesz, do schroniska, zawiadom chłopaków i galopem wracajcie z powrotem. Ja tu posiedzę. Leć!!

Popędził w dół. Zostałem sam. Ostrożnie wróciłem do nyży. Niewiele miałem tu do roboty. Apteczkę mieliśmy więcej niż skromną. Miałem dwoma plastrami z opatrunkiem i jednym bandażem próbować opatrywać te obrażenia? Cholera, nie wzięliśmy nawet środków na podtrzymanie akcji serca! Mogła mieć uszkodzony kręgosłup, a czaszka... Wolałem nie ruszać. Rozluźniłem jej ubranie i tak tkwiłem obok niej. jak wtedy, na półkach Mnicha...

ON minął pas wilgotnych i zawieszonych nad głową skał. wszedł w nieprzyjemny, usypisty zlebek i nieco poniżej przedostał się na trawiaste upłazki. W parę chwil sprowadziły GO one na ścieżkę. Było kilka minut po trzeciej i mimo kiepskiej, mglistej pogody ścieżką ciągnęły spore grupy ludzi wracających z Rysów. Nic dziwił się temu. Pęd. jaki popychał ich do wejścia na najwyższy polski szczyt, by! zupełnie niezależny od warunków atmosferycznych! A poza tym zdarzały się takie nieoczekiwane prezenty jak dziś. Smętne, płaczące niebo na dole i niepowtarzalny, jak z okna samolotu, widok na górze. Turyści mijali GO zaafetowani. Zdania nabrzmiewały i cichły w miarę, jak przechodzili prawie nic zwracając na NIEGO uwagi.

Widziałeś, Józek? Jak ocean...

— Taki biały.

— Podobnie było, jak leciałem do Bułgarii...

— A widziałeś— jaka postać? Pierwszy raz coś takiego...

— To Brocken. Słońce się musi... Niesamowite... Jak mówisz? Brocken...?

Przysiadł na kamieniu. Czuł się jakoś dziwnie nieswojo. Od początku nie wychodziły jakieś drobiazgi, a wiedział, że to jest najniebezpieczniejsze. Okazało się na przykład, że Małgorzata zupełnie nieźle zna Ta-

try. Ledwo odwiódł ją od mieszkania u jakichś jej znajomych górali. Potem modlił się, żeby nie spotkała z kolei jakiegoś innego znajomego. Nic na to nie wskazywało, ale cholera wie... A dziś! —Pokręcił ze złością głową. Znała tę drogę i jeszcze GO ostrzegała, żeby za blisko nie podchodził do obrywu zlebu! Z ręką w kieszeni, denerwująco pewnie stąpała po płytach, wzruszając ramionami, bo nic nie było widać i dziwiąc się głośno, po co on ją w ogóle tu przyprowadził, zamiast siedzieć ile się da na grani, gdzie przynajmniej jest słońce.

Wtedy uderzył. Nie mógł już dłużej słuchać tego jej lekceważącego głosu. Jeszcze pół godziny... Gdzież! Jeszcze parę minut i nie byłby do niczego zdolny! To nie ona zaczynała się bać na tym stoku! A przecież musiał... Upadła też jakoś nieszczęśliwie w poprzek i o mało sam nie zleciał przy spychaniu. Do tego ten przekłety plecak. Zsunął się nie wiadomo jak z jej pleców i poleciał oddzielnie... Jak się rozsypał, to może być nieszczęśliwie! Uparła się na ten plecak jakby na złość! Nie lubił tego, właśnie aby wykluczyć takie wypadki, wołał sam wszystko nosić... Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że nie powinien dziś tego robić!

Zduślił w sobie to narastające uczucie. Jak to — nie powinien? A kiedy? Ostatecznie zrobił to i nic się nie dzieje. Trzeba doprowadzić plan do końca i spokój! Przecież to o ten spokój chodziło!

Podniósł się i wolno poszedł wzdłuż brzegu stawu, machinalnie przeskakując z kamienia na kamień. Ponownie pojawiły się wątpliwości. Należało zejść tą drugą drogą i sprawdzić! A jeśli...? Co się dzieje, do diabła?! Uderzył ze złością pięścią w pięść. Jakie znowu „jeśli”? Nic ma cudów! Słyszał uderzenia. Tyle głuchych uderzeń... więc o co chodzi?

— Pana nazwisko? — suchy głos przerwał MU ten nerwowy wewnętrzny dialog.

— Co? — spytał nieprzytomnie. To było tak niespodziewane, że o mało nie odpowiedział własnym. Gorąco spłynęło MU od serca do stóp. Czyżby już"?!

— Jak się pan nazywa? Musimy wykreślić. Stało przed nim dwóch żołnierzy WOP—u.

Minęło parę sekund, zanim uzmysłowił sobie, że przecież oni tu zawsze Moja. i między innymi dlatego tak rano wyszedł z Małgorzata, aby ich nie spotkać.

— A tak... — wyjąkał. — Malicki. Ale ja nie byłem na Rysach.

— A gdzie?

— Na Apostołach. Jestem taternikiem — dodał tonem wyjaśnienia.

— Aaaa — pokiwali głowami. — Od schroniska pan podchodził?

— No właśnie, a teraz tak sobie pomału wracam — mówił coraz swobodniej.

— Dobra, nie ma co pisać. Heniek — jeden z żołnierzy zwrócił się do drugiego, trzymającego w ręku wielki, czarny zeszyt. Stracili dla niego wszelkie zainteresowanie.

— Stop. Nazwiska państwa? Musimy wykreślić — usłyszał, jak zatrzymywali grupkę idącą za nim.

Znowu niedobrze! Zszedł poniżej załamania progu i przystanął. Po coś podawał to nazwisko? Teraz trzeba było już swoje. Nie, dobrze zrobiłem. Mogliby skojarzyć! Powiedziałem, że wracam z Apostołów, to ostatecznie rejon obok... To po cholere mówileś, że stamtąd idziesz! Trzeba było powiedzieć, że z Rysów. Nikt by nie sprawdził! A im mogłeś powiedzieć, że wyszedłeś tak wcześnie, że ich jeszcze nie było. Co się

dziś dzieje? Skąd te myśli? Trzy razy tak robiłeś i nikt na to nie wpadł! I teraz nie wpadnie, do diabła! Wszystko jest w porządku! Do momentu wyjazdu nie masz prawa posługiwać się własnym nazwiskiem, a ten dowód, co masz. wystarczy na meldunek! Zresztą dziś wyjeżdżasz! Za kilku godzin będziesz w pociągu i niech cię wszyscy w dupę pocałują!!"

Odetchnął głęboko i dziwiąc się własnej głupocie zaczął schodzić w doi. Uspokoił się zupełnie, zaczął nawet oglądać okolice. Bogiem a prawdą nie za dużo było widać... Nie. trzeba dać już z tym spokój...

Uśmiechnął się z ironią. Czwarty raz składał sobie to przyrzeczenie...

Przyśpieszył i wtedy JEGO uwagę zwrócił głośny tupot i szmer lejących kamieni. Odwrócił się i spojrział w górę. Ścieżką zbiegał na łeb na szyje jakiś mężczyzna. Zbliżał się błyskawicznie. ON aż się colnął. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, jakby tamten JEGO właśnie gonił.

— Co się stato? — krzyknął w przelocie do biegnącego.

— Wypadek — odkrzyknął tamten.

— Wypadek? Gdzie? — sam nie wiedział, kiedy też zaczął biec Mimo to postać sadząca wielkimi susami oddalała się od NIEGO coraz bardziej.

— Na Żabim, w żlebie.

Jezus! Na Żabim!

— Żyje? Kto to? — wrzasnął rozpaczliwie za nim.

— Jeszcze żyje. Kobieta! — dobiegło do NIEGO już prawie znad brzegu Morskiego Oka.

Zupełnie bez udziału woli pomału stanął. Usiadł na ścieżce. Nogi zupełnie nie były w stanie GO nieść. Żyje! Żyje! Żyje! — dyszało w nim wszystko, a serce nieomal wyskakiwało MU z gardła, jakby minął właśnie metę maratonu...

— Hep! Na zdrowie!

— Nie rozlewaj. Franek!

— Do dna, Heluś. do dna!

— I jeszcze po kropelce!

— O. koniec. Dawaj następną. Pani Jadzia nie ma! Pani Jadziu, w pani rączki...

— Hi! Hi! Hi!

— Hu! Hu! Hu!

To był doprawdy wesoły autobus. Czterdziestu kilku uczestników dotowanej wycieczki z dalekiego miasta było w różowych humorach. Mgła zasłoniła wszystko nad tym idiotycznym stawem, więc nawet sam przewodnik zbyt długo nie gadał i wlaź do jadalni. I tak miał dosyć. Trzy czwarte ludzi dało się ruszyć w ogóle z autokaru tylko obietnicą piwa w schronisku, więc nie miał żadnych złudzeń. Piwo faktycznie było i to również w barze koło parkingu, co było już darem niebios. Sprawdziwszy gruntownie prawdziwość słów przewodnika i wykrzyczawszy się do woli bractwo z wielkim śmiechem i jeszcze większymi kłopotami ulokowało się w autosanie. Kierowca widać też uzupełnił pewne braki w organizmie, bo jechał z pedałem gazu

na podłodze. Kilku przygodnie zabranych pasażerów kurczowo trzymało się pólceczek, balansując na ugiętych w kolanach nogach.

Cały ten harmider docierał do NIEGO jak przez nauszniki.

Co robić?! Co robić?!

Bezwiednie poprawił uchwyt ścierpniętej dłoni. Poleciał w bok.

— Oooooooooo! — ryknęła lewa połowa autobusu, który skręcając się jak dziecinny bąk sfruwał, bo raczej nie zjeżdżał z Wierchu Porońca.

Wylądował na kolanach jakiejś blisko stukilogramowej piękności. Ta zanosila się od śmiechu. Błysnął srebrny ząb.

— Ho! Ho! Ale ci się. Jadzia, amant trafił!

— Nie wstawaj pan. nie wstawaj!

— A może pan do mnie przyjdzie? — inna była chudsza, ale za to łysawa.

Rozejrzał się nieprzytomnie wokół. Jadzia, zobacz, poraziło go!

— Gorączkę ma!

— A może dostał udaru mgielnego?! Okolica kwiknęła z radości.

— Zaśpiewajmy! — zaproponował ktoś z drugiego rzędu siedzeń. I natychmiast zaintonował: — *Raz Murzyni tut pustyni...*

— Niecee! — ryknęli ludzie z tyłu. — Harcerską piosenkę, harcerską!!!

— *Cztery razy po dwa razy!!!* — wrzasnęli znienacka „harcerską” piosenkę dwaj mężczyźni, siedzący dotąd zupełnie cicho, tuż przed NIM.

— *Osiem razy raz po raz!* ? odpowiedział nierówny chór. aż szyby zadzwoniły. Małżeństw tu chyba nie było...

Zupełnie otepiały patrzył, jak autobus mija w pędzie Brzeziny, potem Jaszczurówkę i wpada do Zakopanego. Drgnął. Zerwał się i zaczął przepychać do przodu.

— Stać! Niech pan stanie! Wysiadam! Kierowca jakimś cudem usłyszał i wóz z wysiłkiem zatrzymał się przed Rondem.

— Jadzia, goń go. Ucieka! — Przestraszyłaś chłopca!

— Jakiś niedorobiony — panna Jadzia wyglądała, jakby chciała splunąć.

— *A nad ranem jeszcze raz!* — pożegnał GO harcerską piosenką autobus.

Patrzył przez chwilę za niknącym tyłem autokaru, a potem zarzucił plecak i powłókł się w dół szeroką ulicą Chałubińskiego. Wiedział jedno; ją przewieźli na pewno do szpitala w Zakopanem. Za wszelką cenę musi się tam jutro dostać...

— No, i jak leci?

— Zwyczajnie — Staszek wzruszył ramionami. — Dyżury w centrali i w schroniskach, od czasu do czasu coś poważnego, oczywiście w nocy i w „goprowską” pogodę. Kupa drobnych interwencji, jak siedzisz w terenie. I kocioł w zimie, że ledwo się wyrabiasz. Normalka. Znasz to przecież. Tu się nic nie zmienia.

Faktycznie, znałem. Tu się nic nie zmienia. Nawet ta dyżurka centrali w Dworcu Tatrzzańskim cały czas jest taka sama. Siedzieliśmy w niej, leniwie paląc papierosy po gorączce ostatnich godzin. Przebiegiem wzrokiem znajome kąty.

— Słyszałem, że się przenosicie?

— Tak, podobno — potwierdził tkwiący przy radiotelefonie Kazik. Nie zdziwiłem się słysząc coś jakby żal w jego głosie. — Na 15 grudnia.

— Uwierzę, jak tam będziemy — Staszek zawsze był sceptykiem. — Od lat o tym się mówi. Aaaa — machnął ręką. — Powiedz lepiej, co u ciebie? Siedem lat, chłopie...

Pokiwałem głową.

— Siedem lat — powtórzyłem wolno i zamilkłem. O czym miałem mówić? Tyle było tematów, o których chciałem im powiedzieć i tyle się wydarzyło, że pomieszało się wszystko i praktycznie nie było o czym. — A, tak — powiedziałem w końcu. — Jakoś się kręci.

— Chodzisz w góry? Coś cię nie widuję.

— Trochę. Ale bardziej... — uśmiechnąłem się — ...turystycznie. Taka włóczęga... Dopiero ostatnio, w tym roku, z Maćkiem nieco ostrzej. Granaty. Kozic i teraz przerzuciliśmy się do Morskiego. Byliśmy na Niżnich przez. Igły, a jutro chcieliśmy porozmawiać ze wschodnią Mięgusza. Kurczab — dodałem wyjaśniająco nazwę drogi. — Ale w tej sytuacji... Odłożymy to do środy.

— Właśnie — wmieszał się Kazik. — Co tam się naprawdę stało? — Miał dziś dyżur w centrali i sterując przy tubce, jak to nazywaliśmy, nie słyszał całości, którą innym zdążyłem już opowiedzieć. — Ta babka sama nie spadła?

— Uważam, że nie — odpowiedziałem twardo. — Posłuchaj...

Możliwie syntetycznie przekazałem mu wszystko, co wydarzyło się do tej pory i co — w świetle moich podejrzeń — miało miejsce. Poruszyło go to wyraźnie.

— Ładnie. Teraz rozumiem, dlaczego tak nalegałeś, żeby powiadomić stróżę. Ale numer... — pokręcił głową.

Numer... Faktycznie, niezły. Niczego jednak ta konstatacja nie zmieniała. Uzmysłowiłem sobie nagle, że była chyba niepotrzebna. Ile, do diabła, mówimy niepotrzebnych rzeczy...

*

Maciek musiał włączyć dopalacz, bo czas nie zaczął mi się nawet dłużyć, gdy usłyszałem znajomy warkot, który rychło przeszedł w huk, zwielokrotniony echem odbitym od pobliskich skalnych ścian. Mgły się akurat trochę podniosły i zobaczyłem MI—2 wlatujący w posępny kocioł! Czarnego Stawu. Manewrując z piekielną zręcznością wysadził kilku ludzi i odleciał nad Morskie. Nieodmiennie podziwiałem, jak latali na tych przyciężkich przecież maszynach nasi piloci. Prostopadle w dół nic nie było z niego widać, a oni, kierowani jedynie gestami, potrafili lądować na Buli pod Rysami! Kto to mógł być tym razem? Pewnie Janusz,

jeśli jeszcze lata. Potrafił się wcisnąć między czubki świerków a pułap chmur, gdy tylko było więcej o pół metra niż wysokość Śmigłowca. No. może metr...

MI wrócił na sygnały jednego z nas. Robert i jeszcze jeden młody gość, którego nie znałem, wskoczyli do środka i maszyna podniosła się trochę— Dyrygowali nami. a my podwieszaliśmy na sztywno w siatce porozbijane ciało. Ona nadal żyła! Ruszaliśmy się wszyscy jak wojska desantowe w czasie ataku i galopem było to gotowe. Śmigłowiec uniósł się po spirali, zawinął nad nami szerokim łukiem i odleciał z gór. Wolno zeszedliśmy do schroniska, choć mnie właściwie mocno się śpieszyło. Tyle tylko, że moje własne biegi nic by tu nie dały... Zabrałem się do samochodu i razem z wyprawą wróciłem do Zakopanego. W czasie jazdy uzmysłowiłem sobie, że trzeba było najpierw zadzwonić ze schroniska i w ten sposób zawiadomić milicję, a nie dopiero osobiście... Co za dzień!

Porucznik, do którego się zwróciłem, o nosie w kształcie góralskiej siekiery, sprawiał wrażenie, że w pracy kieruje się głównie węchem i był sympatyczny jak kelner bezpośrednio po stwierdzeniu, że goście nie mają forsy na zapłacenie rachunku. Z trudem go przekonałem, żeby chociaż sprawdził meldunki w hotelach i zrobił jeszcze kilka prostych rzeczy w rodzaju powiadomienia Jastrzębskiego. Miał to zrobić jutro z rana. O blokadzie nie chciał nawet słyszeć.

— Czy pan zwariował? — pytał ironicznie, co prawda nie bez pewnej dozy słuszności. — Jak sie panu zdaje, ilu ja mam ludzi? Kogo mam łapać? Jak on wygląda? A jeśli miał samochód? Szlaban na szosie też mam postawić? Jeśli jest tak. jak mówicie, to jego od paru już ładnych godzin nie ma na tym terenie! Wiecie, ile odeszło od tego czasu pociągów i autobusów? Wcześniej trzeba było... Ta kobieta przecież żyje? — dopytywał się. — No. więc musimy poczekać, aż ona odzyska przytomność! Bez tego... — I tak dalej.

— Nalegałem, ale wynik był mizerny — teraz dopiero odparłem Kazikowi.

— Trochę słuszności to ten porucznik miał — skrzywił się Staszek. — Kogo on miał łapać? Ducha? Jeśli ona wyżyje, to sprawa się wyjaśni.

— Może...

— Ciekawe, co to za facet...

— Wariat, mówię wam — tonem głębokiego przekonania włączył się Jasiak.

— Nie wiadomo, chłopie. Pamiętasz... Zaczęli rozmawiać podekscytowani. Przestałem słuchać. Miałem dość tych jałowych spekulacji. Zaczęło narastać we mnie podejrzenie, które zakiełkowało, jak sądziłem, podczas czekania na GOPR w tej płytkiej nyży w kominie obok ciała, jeszcze żywego, ale ja za dużo już widziałem takich skórzanych worków wypełnionych pogruchotanymi kośćmi, żeby mieć jakiegokolwiek złudzenia! Teraz zdałem sobie nagle sprawę, że tkwię w orbicie tej historii od dawna, od tej chwili, gdy po raz pierwszy powiedział o niej Jurek. Jak głęboko musiała we mnie zapaść! Czy tylko dla tej niecodziennej pogody zlałem dziś z Niżnich Rysów— na Białczańską? I po co powiedziałem o tym Maćkowi? Przecież po to. żeby dotrzeć do ludzi z pogotowia, bo sam jakoś czułem się niezręcznie... Dotrzeć do nich, do swoich starych kumpli i spytać — o co? O tę historię sprzed roku! Może i racja, to co mówił kiedyś brał. że ja jeszcze bardziej od niego, przynajmniej w pewnych sytuacjach, przypominam buldoga. „Złapie i już nie puści... Trismus”.

— Kazik— gdzie jest „Księga Wypraw" z zeszłego roku? Z sierpnia?

Niecierpliwie machnął ręką pokazując. Był wsłuchany w to, co mówi Staszek.

— Tam. na dole. Na tej dolnej, mówię! Nie! Obok — strzelił ze zniecierpliwieniem palcami. — Obok, na tej koło szafki! Ta — kiwnął głową. — Co ty gadasz! — rzucił nagle w stronę tamtych. Przypomnij sobie! Dwa lata temu w październiku...

— Wolno przewracałem kartki. Jest! ...26 sierpnia o godz. 16¹⁵ powiadomiono z Morskiego Oka, że w żlebie spadającym z Białczańskiej Przełęczy Wyżniej zostało znalezione ciało kobiety przez... — czytałem powoli —... z Krakowa. Wyjechali... — następowało kilka nazwisk. I jeszcze: Zmarłą okazała się Elżbieta Koszewska z Warszawy. Lat 32. *Narodowość polska*. Krótka notatka. Parę zdań. Lakoniczność zapisów była tu rytuałem Kiedyś chyba podświadomie, rywalizowaliśmy ze sobą w lapidarności. Czym większy łomot, tym mniej słów...

Tamci rozprawiali z jeszcze większym ożywieniem.

— Co ty opowiadasz?! Jakie trzysta?! O ile? To było ponad trzysta. Czwartą setkę dołączyliśmy!

— Czwartą? Czwarta była rezerwowa i jej nie ruszaliśmy!

— Lecz się! Sklerozę masz. „Adept” wtedy przecież jechał. Nawet Ujek go pochwalił!

— To nie wtedy! Pomyliły ci się jazdy! Sam się lecz! To nie było na Kazalnicy...

No tak... Znowu się wyłączyłem. Czułem, że teraz tylko jedno zaczyna się liczyć. Co to za facet? Zrozumieć go. wczuć się w niego... Nie wierzyłem, żeby można było dojść do prawdy inaczej niż przez rozgryzienie gościa. Chyba żeby przypadek... Czyli jak model jest silny psychicznie. to na Świętej Nigdy. Wariat? Nie. to było coś więcej. Jakoś ta teoria o chorym umysłowo wydawała mi się za prosta. Zresztą, jeśli jest prawdziwa, to gość wdepnie niezawodnie. Z drugiej strony sam niedawno mówiłem, że wdepnąć powinien również każdy o jakim takim życiu wewnętrznym. Tu i tu nieuchronność? ..Coś to za łatwo wygląda, panie Andrzeju pokiwałem nad sobą głową. — Ta teoryjka o zwrotnym sprzężeniu psychicznym jest może i zgrabna, ale niekoniecznie działa w praktyce. Błędne koło...? Zaraz. Nie pasowa! mi do wizerunku tępego, ponurego mordercy spychającego swe ofiary z szyderczym, na przykład, albo bezmyślnym uśmiechem. Nie pasuje ci. a dlaczego? — spytałem sam siebie. — Co ty w ogóle o nim wiesz? A jednak wiedziałem. Podświadomie czułem, że aby go zrozumieć, trzeba było przyjść w góry. usiąść w tym nieprzyjemnym kominie mając pod nogami kawałek skały i o wiele więcej powietrza. Tu gdzieś był klucz. Pojąłem nagle, że taki człowiek jak Jurek może go w ogóle nie dostać. Nie dlatego, że jest kiepski czy coś takiego. Wręcz przeciwnie. Trudno mi było sobie wyobrazić lepszego psa od niego. W tym dobrym znaczeniu. Ale on by przyszedł w Tatry, spojrzął w tę nieszczęsną rynnę, a następnie na mnie z piekielnym zdziwieniem i spytał z ironią, czy rzeczywiście uważam, że to jest rozwiązanie, ten idiotyczny, poszarpany granit? Coś mi mówiło, że tylko facet znający właśnie ten idiotyczny, poszarpany granit może zrozumieć innego, który przyszedł tu. żeby popełnić rzecz tak nieodwracalną jak morderstwo i to po raz drugi. Drugi raz... Moment!! On to zrobił drugi raz w tym samym miejscu! A jeśli...? A jeśli to nie tylko te dwa razy?

Zacząłem wyciągać po kolei coraz starsze foliały. Trzy lata temu— Nic. Cztery... Nic Czyżby nie tędy droga? Minałem parę lat i zagłębiłem się w historię. Ciągłe nic. Coś jakby —zniechęcenie... Historia. Jakoś nigdy nie miałem na to czasu. Owszem, zwłaszcza na początku I czytało się na nudnych dyżurach stare wpisy Ale tylko te sprzed drugiej wojny, rozpoznając z niejakim wzruszeniem pismo Oppenheima czy nawet Zaruskiego, w tle w końcu było tych spokojnych dyżurów? Jak nie akcja, to i tak kręciło się sporo osób, którzy wpadali tu i wychodzili. Nudno nie było prawie nigdy. Może w listopadzie...

Przerzucałem strony. Daty. nazwiska. Długa litania zabitych i nierównie większa pokiereszowanych, czy tylko zszokowanych. Wszyscy zniesieni na ramionach w dolinę. Śmigłowiec to ostatnie lata. I nie zaw-

sze można go użyć... Przypomniałem sobie pierwszy, nazywany samowarkiem, nie tylko od symbolu SM—1. Na nim w ogóle strach było wlecieć w góry...

Patrzyłem na grzbiet kolejnego zeszytu. Sprzed prawie dwudziestu lat. Pogrążyłem się we własnych wspomnieniach i trochę bezmyślnie przebiegałem wzrokiem rubryki... Osiemnaście lat temu zacząłem dopiero nieśmiało próbować Tatr. Ile to już czasu...

Czerwona lampa zapaliła się zniecka przed oczami. Było to niespodziewane jak cios w plecy na środku ruchliwej ulicy w południe. Wpatrzyłem się w przewróconą przed momentem kartkę... Nic się nie zmieniło. Trochę wyblakły atrament... W jednej, przerażającej sekundzie zrozumiałem! W uszach głucho dudniła krew...

— Co się stało, Jędrzek? — usłyszałem jakby z oddali zaniepokojone głosy.

Staszek stanął koło mnie i patrzył zdziwiony na moją twarz.

— Coś tam znalazł?

— Wiem — powiedziałem do niego zmienionym głosem. — Wiem, kto to jest!

*

Siąpił deszcz. ON poprawił kaptur niebieskiego skafandra i przyspieszył kroku. Skończyć to. Nerwy miał napięte do tego stopnia, że fizycznie je czuł. Wiedział, że długo tak nie pociągnie. Głowa pękała MU od hipotez, domysłów, domniemanego przebiegu: Skręcił w uliczkę doprowadzającą do szpitala. Już zaraz. Zaraz się rozstrzygnie! Gdzie ona leży* Pewnie na reanimacji. Trzeba się dostać za wszelką cenę! Ale tam nie wpuszczają! Może— najbliższą rodzinę? A może jakieś pieniądze?.. Pielęgniarka gdzieś pójdzie, nikogo nie będzie... Wtedy wpaść i jeden mały ruch przy masce tlenowej. Wystarczy... A jeśli się nie uda? Musi!! Bo inaczej on... — aż się wzdrygnął.

Resztką woli zmusił się do spokoju. Okaze się na miejscu! Sytuacja określi mu możliwości.

Przyśpieszył jeszcze bardziej. Spojrzał na zegarek. Rano. Za wcześnie na jakiegokolwiek wizyty, ale ON nie miał w ogóle czasu...

— Pan do kogo? — ostry głos osadził GO na początku długiego korytarza pierwszego piętra, do którego dotarł nie zatrzymywany przez, nikogo. Trwał widać obchód na innych oddziałach, bo jakoś mało było w zasięgu wzroku białych kitli.

Odwrócił się na pięcie. Przed NIM stała starsza kobieta w fartuchu pielęgniarki.

— Do kogo pan przyszedł i co pan tu robi?! — powiedziała głośnie.

— Do pacjentki...

— Teraz nie wolno!

— Tak...ale...

—Powiedziałam: nie wolno! — postąpiła krok naprzód przypierając GO do ściany. Proszę wyjść! Odwiedziny od piętnastej.

—Wiem, ale...

— Więc co pan tu jeszcze robi?!

— Zaraz! Tu chodzi, proszę pani. o tę kobietę, co ją wczoraj helikopterem przywieźli...

Zauważył, że w jej oczach coś błysnęło więc szybko ciągnął dalej:

— Z gór ją przywieźli. I ja właśnie do niej!

— Przywieźli, i co z tego?

— Chciałem się spytać, co z nią? I gdzie leży?

patrzyła na niego ze szczególnym wyrazem twarzy.

—Pan z rodziny?

—Nie.

—Znajomy?

—Nie.

—To po co pan pyta? Co to pana obchodzi?

—Ja jestem jednym z tych. co ją znaleźli i znieśli, rozumie pani? Sam się też wspinam i... — patrzył na nią z napięciem.

— Ona nie żyje. proszę pana. Umarła w nocy. Robiliśmy, co tylko było można, ale stan był beznadziejny. Tyle obrażeń... — umilkła.

Odwrócił się szybko, aby nie dostrzegła na JEGO twarzy olbrzymiej, obezwładniającej ulgi. której nie umiał i nie chciał ukryć. Bez słowa wyszedł przez wahadłowe drzwi z napisem „Chirurgia”.

Gdy po niecałej godzinie zdejmował plecak w niezbyt obszernej poczekalni zakopiańskiego dworca kolejowego, był już całkowicie odprężony. Chciało MU się tylko spać, ale to było zrozumiałe. Wyciągnął pieniądze i machinalnie sprawdził, czy ma wszystkie dokumenty w portfelu. W chwili wsiadania do pociągu wracał przecież do swojego nazwiska. Nagle oblał GO zimny pot. Gdzie jest dowód?! Jeszcze raz przejrzał przegródki, zaglądając nawet w najwęższe. Nie było!! Postał chwilę słuchając szaleńczych skoków teina, po czyni gwałtownie zaczął wyrzucać rzeczy z plecaka. Wzbudziło to zainteresowanie siedzącego obok dziadka.

— Masz pan papierosa? — pochylił się do NIEGO

— Co? — rzucił nieprzytomnie.

— Papierosa czy pan masz. się pytałem. Tylko radomskiego, bo krakowskich nie mogę!

— Nie mam żadnego! Poznańskiego też nie, Nic nie mam! — dodał z rozpaczą.

—Cały wór dobra i nic nie ma... Trudno, nie chcesz dać, to nie! — staruszek odwrócił się z pogardą.

—Gdzie ostatni raz miałem go w ręku? Gdzie?!" — huczało MU w głowie. Pozbierał byle jak łachy, wcisnął do plecaka i wypadł przed budynek.

Cholera wie. poco ja tu wróciłem. Dalibóg, nie wiedziałem. Siedziałem nad opróżnionym do połowy kuflem piwa w nawet nic tak pełnej jadalni schroniska w Morskim Oku i starałem się nie myśleć o ostatniej dobie. Czułem się jak student chory na gruźlicę i kucający na środku pustego, nie opalanego pokoju pełnego zacieków, za który to pokój właśnie podwyższono mu czynsz. „I dlaczego to obracasz w głowie? — sztorcowałem się nieomal głośno. — Płacz tu nic nie pomoże! Daj spokój. Za parę godzin powinien przyjechać Maciek, pluń na to wszystko. Jutro Mięguszowiecki! Zapomnisz”!

Trochę przytomniej rozejrzałem się wokół. W kącie siedziała grupa młodych ludzi, śpiewając coś przy akompaniamencie gitary, na której grał brodaty blondyn. Pewnie jakaś ballada Okudźawy albo Wysockiego. Nagle dobiegi do mnie refren, śpiewany przez nich wspólnie:

Wariackie papiery
obsesja czysta,
miało hyc o jeżach
nie o terrorystach...

Przypomniałem sobie natychmiast dalsze słowa tej ślicznej przypowieści Jana Krzysztofa i humor poprawił mi się z miejsca. Dotarło też do mnie jakieś miarowe dudnienie. Parę stolików obok śpiewających siedział mężczyzna z kobietą i dzieckiem — łączna waga minimum ćwierć tony. facet porykiwał do każdej przechodzącej kelnerki:

— Zamówiłem trzy razy zrazy! Ile to już trwa?

Na co dostawał wciąż taką samą odpowiedź;

— Zara.

Po każdej takiej wymianie zdań dziecko, chyba chłopczyk, silniej ujmowało trzymany w pięści widelec i ponuro patrzyło w pusty stolik. Uroczy jamochłon. Któraś z kelnerek przyniosła wreszcie danie.

— To jest zimne! — zabrała głos matka rodu.

— Niemożliwe.

— Jak to niemożliwe! Niech pani spróbuje sama.

— Ja już jadłam.

— Skandal! — zahuczał gość. — Czekamy pół godziny i jeszcze jest zimne!

— Jak tyle pan siedzi, to faktycznie mogło wystygnąć — z godnością odparła kelnerka i odeszła.

Porażony nieodpartą logiką tej odpowiedzi wypilem nieco piwa. Trzasnęły wejściowe drzwi, ktoś szybko przechodził przez werandę. Spojrzałem leniwie — już na pełnym luzie, w tamtą stronę. Jakiś facet w skafandrze. Odwrócił się jeszcze w przejściu do drugiej części jadalni. Rany boskie!!

Kurczowo chwyciłem się blatu. Przez długą, tak wieczość sekundę patrzyliśmy sobie w oczy. Ocknąłem się pierwszy.

— Stój!! — ryknąłem i błyskawicznie wystartowałem zza stolika.

Drgnął, jakby chciał wyrwać do tyłu. ale ja już byłem przy nim i złapałem go za ubranie na piersi. Żrenice mu zmatowiały i wyraźnie oklapł. Bez słowa protestu dał się zaprowadzić do stolika. Ludzie którzy zaniemówili na widok tych moich skoków, zajęli się znów sobą. Tu się działy nie takie rzeczy... Skąd się tu wzięłeś?— przerwałem ciszę

— Wiesz? — odpowiedział pytaniem. Pokiwałem głową.

— Tak. Wiem. Sam jesteś? Bez kobiety? Dziwne...

— Przestań...

— Co; przestań? — zacząłem i przerwałem, taka rozmowa nie miała sensu. Który to raz? — sam nie wiem. co kazało mi zadać to pytanie.

— Czwarty — opuścił głowę. Przeciagnałem dłonią po twarzy.

— Czwarty?!

— Tak. To była czwarta dziewczyna — powiedział nagle mocniejszym głosem. — Jeszcze dziewięć i pięć lat temu. Tę pierwszą sam musiałeś znosić...

Byłem jak balon, z którego uciekło powietrze.

— Jak to było możliwe?

— Miałem plan — coś jakby duma zabrzmiało w jego głosie.

— Plan?

— Tak. Niezawodny!

On się naprawdę chwalił! Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Myślałem gorączkowo, co robić. Nie mogę go stracić z oczu. dopóki nie przyjedzie Maciek! Może ktoś się ze znajomych wcześniej pokaże? Dać jakoś znać! Ale jak?! Miałem się podnieść i oznajmić: „Proszę państwa, to jest morderca! Niech go państwo przypilnują, a ja tymczasem pójdę po kierownika schroniska albo zadzwonię na milicję”? Stratowałiby się w drzwiach.

— A więc miałeś plan? Nic szczególnego. Znasz się przecież na tym! Ale po cholere go miałeś?

— Nie chciałem wpaść — popatrzył na mnie jak na idiotę.

— Ja nie o tym — zaczęła mnie ogarniać zimna, wyrachowana wściekłość. — Wierzę, że nie chciałeś wpaść! Ale po co ci w— ogóle był ten plan?

— Po co?... Co ty wiesz...

— Co ja wiem?! Ano wiem. Nie wpadło ci do głowy, że jakoś musiałem się dowiedzieć?!

— Przypadek. Musiałem zrobić jakiś błąd. Ta ostatnia historia wymknęła mi się z rąk. To przypadek — powtórzył. — Plan był bezbłędny!

— Co ty wygadujesz? Ta wczorajsza polka to zupełnie... — wciągnąłem ze świstem powietrze. — Zostawmy to na razie na boku. Powiedz mi lepiej, co to za Klara. Wtedy, osiemnaście lat temu...

Podskoczył jak ukąszony przez żmiję.

— Skąd? Skąd?... — miał nieprzytomne oczy.

— Spokój! — syknąłem. — Czyli doszło do ciebie, że jednak wiem coś więcej!

Milczał. Źrenice ponownie mu zmatowiały.

— No, więc przestań wychwalać ten swój plan i wyjaśnij, do diabła, ale dokładnie, związek tej Klary z tą historią. To była twoja żona. tak? Miała twoje nazwisko...

Nie odpowiedział od razu. był jakby nieobecny. Potem pokiwał wolno głową.

— Tak — powiedział prawie niedosłyszalnie. — To była moja żona.

— No i co? Ją też?

— Byłem przygotowany na najbardziej gwałtowną jego reakcję, gdyż już domyślałem się całości. Ale on tylko popatrzył na mnie z wyrzutem.

— Ją? Andrzej... — nagle zaczął się trząść. — Ja... nie jestem winny, Andrzej! Ja nie jestem winny! To nie przeze mnie...

Ludzie zaczęli się znowu oglądać na nas. Nie zwracał na to uwagi.

— Nie, nie... — zacisnął pięści. — To nie ja. Coś zimnego podeszło mi do gardła.

— Nie? — uniosłem ze zdziwieniem brwi. — A kto?

— Co?! Ty nie masz prawa... Ty nie byłeś tam... — Nie wiesz. Ja nie mogłem, rozumiesz? — spojrzał mi z bliska w oczy. — Nie mogłem!!

Ręce mu latały.

Czegoś tu nie rozumiałem. O co mu chodziło?

— Co nie mogłeś? Jak to — nie mogłeś? A one...? — pokazałem ruchem dłoni za szybę. Coś jakby zaskoczenie mignęło mu w oszalałych oczach.

— Ach. ty o tym... — skwitował te cztery morderstwa lekceważąco. — Czyli jednak nie wiesz... — przygarbił się i skurczył w sobie. — Powiem ci...

To przyszło zupełnie nagle. Klara poprawiała się właśnie na rozgrzanym głazie, gdy poczuła przez zamknięte powieki, że słońce musiało zejść za jakąś niewielką chmurkę, których, jak pamiętała, z rana było kilka na niebie. Nawet była z tego zadowolona, bo gorąco stawało się już nie do wytrzymania. Zdjęła z oczu ochronne listki i spojrzała w dół. Leżeli opalając się na stoku łagodnie opadającym ku błękitnym sławom w dole. tuż poniżej przełęczy. Jak się ona nazywała?

Wyleciało jej z głowy. Nic miała nigdy pamięci do nazw W szkole miała ledwo trójkę z geografii. Trzeba spytać męża. on wie wszystko o tych górach.

Nigdy nie przypuszczała, że i ona je polubi. Przedtem wydawały jej się po prostu kupą kamieni, po tych paru tygodniach zmieniła jednak zdanie. To było jednak dużo więcej niż głazy. A mąż tak ciekawie o nich opowiadał i znał panoramy... Jak na tym... no... aha! Zawracie — zaczął objaśniać, wszyscy, co tam byli. słuchali go! I od początku jest taka piękna pogoda. A Kaśka mówiła, że w Tatrach często pada. też coś!

Nie potrafiła sobie wyobrazić tych roziskrzonych gór w deszczu. Na jesieni pewnie tak. Wtedy wszędzie pada, ale nic w lecie.

Przeciągnęła się zadowolona. Głupia ta Kaśka...

Podniosła się na łokciu i obróciła. Mężczyzna siedział w skalnym fotelu, utworzonym z głazów i kamieni i z napięciem wpatrywał się w coś za jej plecami.

— Jak się nazywa ta przełęcz? — Klara uśmiechnęła się do niego.

— Co? A— mówiłem ci przecież. Owcza.

— Owcza? To tu bywały owce? Tak wysoko?... Przez rozstawione szeroko palce dłoni patrzyła na tafle wody w dole. Najwyraźniej ją to bawiło.

— A te jeziora?

— To nie jeziora. Stawy.

— No dobrze, stawy. Poprawiasz mnie jak mój nauczyciel geografii. Był łysy i złośliwy. Więc jak?

— To są Żabie Stawy Białczańskie.

— Jakie? Żabie? To tam są w takim razie żaby... A ten szczyt? — pokazała przed siebie. Taki duży?

— Gierlach.

— Jak te noże —przebiegł ją dreszcz. — Chyba się ochłodziło... A ten, tu?

— Przestań. Klara, i lepiej spójrz za siebie — mąż powiedział to jakimś zmienionym tonem i Klara poczuła się nie wiadomo czemu nieprzyjemnie.

— Po co? Zaraz będziemy schodzili, to się napatrzę— przekomarzała się z nim wyraźnie.

— Spójrz, mówię.

Wzruszyła ramionami i obróciła się. Zamarła—Przerazające. fioletowo—czarne chmury pokryły niebo nad kotliną i były tuż. przeciął je krzaczasty błysk i rozgłośny huk potoczył się w zapadłych ciemnościach. Odbijał się i wracał, wzmagając się i cichnąc.

— Boże! Co to jest?

— Nie widzisz? Burza.

— Ale dlaczego? Jak? Skąd? zerwała się na równe nogi.

—Zasiedzieliśmy się. Skały poza tym trochę zasłaniały. Może zasnąłem — mówił jakby do siebie.

— Co tam mamrociesz? Słuchaj, co robimy? Ja się boję!

— Uspokój się! Musimy uciekać w dół. Ale gdzie?

Zaczęła nerwowo wciągać na siebie ubranie.

— Tam —pokazała na stawy w dole.

— Coś ty?! To Słowacja. Musimy wracać!

— Tu?! Ja... — ponowny błysk przerwał jej słowa. —Iiiii!!! — przypadła z piskiem do ziemi. — Nie idę tam — wyjąkała wśród gromowego pogłosu krążącego, zda się. naokoło.

— Oszalałaś? Musimy tam wrócić. Chcesz nielegalnie przekroczyć granicę?! Wiesz, co to znaczy?!

— Zrozumięją przecież — powiedziała bezradnie. — Burza.

—Tak. niewątpliwie wystarczający powód, żeby przekonać służby graniczne. Wracamy i to jak naj-
szybciej!

— Nigdzie nic idę! Tu jest najbezpieczniej! Czyś ty zwariowała?! W czasie burzy właśnie w grań... — reszta zginęła w suchym, ogłuszającym trzasku. Oślepiło ich. a natychmiastowy ryk ogłuszył jakby potwierdzając od ręki prawdziwość tych słów. Klara niepomna na nic. zasłaniając uszy rękami popędziła w dół. „Na szczęście na polską stronę” — przemknęło mężczyźnie przez głowę. Sam roztrzęsiony do ostatecznych granic pogonił za nią. Dopadł ją dopiero sto metrów niżej, razem z pierwszymi kroplami deszczu.

— Stój! — złapał ją za ramię. — Gdzie tak lecisz?! Tu wszędzie urwiska.

Odwróciła się do niego. Miała zupełnie mokrą twarz. Deszcz. Izy?... Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Boję się! Uderzyło prawie w nas. Zabije! Czemu tak huczy?! — krzyczała mu nieprzytomnie do ucha.

— Przestań! Uspokój się. Trzeba to przeczekać!

Znów ten przerażający, suchy trzask i huk wypierający wszystkie inne doznania. Klara była ulepiona wyłącznie ze strachu. Opadła na czworaki, jakby chciała wtulić się w porośłą trawą skałę. Ponowny trzask! Dźwięk brał ich w swoje posiadanie, obezwładniał. On w szaleństwie złapał ją jak psiaka za kołnierz, pode-
rwał i zaczął gdzieś ciągnąć. Nie opierała się nawet. Deszcz lat już prawdziwymi strumieniami. Pełzli w poprzek stoku, przygięci w pół. Nieoczekiwane zapierające dech w płucach uderzenie wiatru wyprostowało ich. a zaraz potem stłamsiło jak porwane szmaty. Klara potknęła się. podcięła mu nogi. Potoczyli się bezwładnie w dół. —Koniec! mignęło mu pod czaszką. Wczepiał się rozpaczliwie w nierówności, darń... Stanął. Co z Klarą?! Podniósł głowę... Nic nie było widać poza tą miecioną wichurą wodą. Nikogo!

Lepki lęk nie pozwalał mu oddychać. Usłyszał naraz czyjś głos. Słaby jak pisk niemowlęcia. Była! Tuż obok. Miała zakrwawioną twarz i ręce. Oczy niewidzące, nieprzytomne. Usta szeroko otwarte. Krzyczała coś niezrozumiałego z całych sił. ale prawie nic w tym piekle nie słyszał. Góry wokoło huczały, podając sobie echo. Ten grzmot stawał się już nieustający, rozkołysany jak bezkresne morze. Mężczyzna chciał tylko jednego: zwariować, zniknąć, dać się zmiażdżyć, ale nie słyszeć tego odbierającego resztki człowieczeństwa gromu. Oślepiiony twardym jak żelazo deszczem podpełzł do niej. Wstrząsały nią torsje.

— Chodź!!! — wrzasnął jej do ucha. — Nie możemy się zgubić!

Kurczowo chwyciła go za rękę. Przytulił ją do siebie.

— Nic ci się nie stało? Pokręciła głową.

— Chyba nic! Noga mnie tylko boli! Uderzyłam się tam na górze!... — jej krzyk ledwo do niego do-
chodził.

Coś nie w porządku z naszymi uszami. Niemożliwe, żeby tak słabo słyszeć! Pędzeni wiatrem i deszczem, który zdawał się padać zewsząd, zsuwali się gdzieś ukosem w dół. Teren stawał się coraz bardziej pochyły, przechodził w pion.

— Klara! Stop! — zatrzymał ją. Posuwali się już na czworakach. — Tu nie ma drogi! Musimy wrócić do góry!

Określiła się bez protestu jak marionetka i pomagając sobie pokaleczonymi palcami jęła się pięć we wskazanym kierunku.

Po nie dającym się określić czasie dotarli do pochyłych, zwieszających się nad głowami skał. Przywarli do nich. niezdolni do najmniejszego ruchu. Burza minęła ich już. grzmoty dochodziły stłumione i cichł także ten przyprawiający o szaleństwo rozfalowany pogłos gór. Za to wiatr jeszcze się wzmógł, stawał się przeraźliwie zimny, przenikający. Nie było przed mm ochrony. docierał wszędzie. Deszcz trochę się zmniejszył. nie padał już zasłaniającą widok ścianą, przeszedł w jednostajną ulewę. A oni nadal tulili się pod tymi przewieszonymi gzymsami.

— Gdzie my jesteśmy? — Klara ledwo mogła mówić— Co chwila chytał ją kurcz w mięśnie szczęk...
Drżała

—Nie wiem.

— Boże! Ty naprawdę nie wiesz? Zostaniemy tu! My stąd nie wyjdziemy!

Milczał.

— Nie wiem. co robić... Trzeba poczekać, aż ten deszcz się uspokoi...

— A jak się nie uspokoi? Zimno mi strasznie! A jeśli będzie tak padał do rana? I ten wiatr... Nie wytrzymam, słyszysz? Nie wytrzymam!!

— Co ci poradzę? Nie wiem. gdzie jesteśmy. Widziałaś, że o mało nie zlecieliśmy...

—Mówiłeś mi. że znasz te góry! Że nic cię w nich nie zaskoczy!

—Tak myślałem — odparł niewyraźnie.

— Tak myślałeś? My już nie wrócimy! Ja nie chcę! Nie chcę!

—Czego nie chcesz, do diabła? Nie odpowiedziała. Mężczyzna spostrzegł nagle, że zrobiło się iakoś jaśniej.

— Śnieg usłyszał jej głos. — To już koniec! Nieeeee!!!

Poderwała się.

—Chodź: Słyszysz?! Wolę zlecieć, niż siedzieć tu i powoli zamarzać! Nie wytrzymam do rana! Chodź!— szarpała go za mokre włosy.

Podniósł się Potykając się i ślizgając ruszyli, zdając się całkowicie na instynkt. Co chwila któreś z nich przewracało się i zsuwało po parę metrów, ale zawsze jakoś szczęśliwie udawało mu się zatrzymać. Klara w pewnej chwili, po kolejnym upadku na przypominającym teraz lodowisko zboczu pomyślała, że właściwie najlepiej byłoby po prostu raz się nic zatrzymać. Ta myśl pozwoliła jej jednak witać i pójść dalej. On bezwolnie posuwał się za nią. Parli do przodu nic nie widząc, gdyż w padającym śniegu wszystko wydawało się takie same. Potem wszystko stało się im obojętne. Nieustanny dygot całego ciała i szaleństwo myśli przerywane okresami zupełnej bezmyślności wyczerpywały ich ostatecznie, Kołowali po jakichś upłazach, przekraczali zleby, mijali pasy zamrożonej trawy nawet nie wiedząc, że kręcą się w kółko. Teraz on wyszedł na

prowadzenie; Doszli znowu do jakiegoś żlebu. Jego dno było zbudowane z gładkich, oślizgłych płyt, jednak dalej wydawało się — można było przejść

—Musimy tam... — pokazał ręką. Brakowało mu słów, Myślał wolno, bezładnie. Kiwnęła głową.

— Poczekaj. Najpierw ja — zatrzymał ją. bo ruszyła razem z nim.

Ostrożnie wszedł na płyty i wyszukując ledwo widocznych nierówności i zmuszając do uległości przewiane do kości ciało przesuwiał się na drugą stronę skalnej rynny. Dwa razy był pewien, że zleci, zanim dotarł do zbawczych, potrzaskanych gładów po drugiej stronie.

— Chodzi — krzyknął starając się zagłuszyć wiatr.

Ruszyła posłusznie. Patrzył w napięciu, jak niewprawnie stawia stopy. Szła jednak jakoś! Była już w połowie! „Musi przejść! Musi!!! — modlił się nieledwie.

— Jezus!

Krótki urwany krzyk. Zamknął oczy.

— O Boże! Szybko! Nie utrzymam się!! Spojrzał. Wisiała na samych rękach kilka metrów niżej. Patrzył i wiedział, że nic go nie ruszy z bezpiecznej grzędy ograniczającej żleb. Palce zaczęły jej się rozginać. Przysięgłby, że to widział...

— Ratunkuuti!!! Pomóż mi! Pomóż mi! Spadnę!!

„Nie mogę... Nie mogę... Nie mogę...” Naprawdę szeptał, czy tylko coś w nim?...

— Pomóż!! — w krzyku była już sama rozpacz.—Raaaaaa...

Przerażające, głuche uderzenia, szum i cisza. Tylko wiatr wył i miótł śniegiem, jakby nic się w ogóle nie stało...

— Nie ruszyłem się. Nic mogłem się oderwać od tej przeklętej skały! — mówił to cicho, ale z wewnętrzzną emocją. — Rozumiesz?! Nie mogłem!!

Milczałem. Z całego otoczenia widziałem tylko tę pokurczoną postać z wtuloną w ramiona głową i splecionymi dłońmi. Reszta ginęła w niewyraźnej masie zlewającej się ze sobą.

— Znaleźli mnie następnego dnia — podjął po chwili nieco równiejszym głosem — przyczepionego do skały. Zresztą nie GOPR, a taternicy. Miałem odmrożoną prawą rękę. nie reagowałem podobno na głosy, na nic, tak to jest... — umilkł

— Tak przypuszczałem — powiedziałem wolno. — Coś w tym guście, chociaż...

— Przypuszczenia nie mają tu nic do rzeczy — wyprostował się. — Tak było!

— Cholera cię wie — palnąłem, zanim pomyślałem.

Oczy mu się rozjarzyły.

— Nie skacz! — ostrzegłem go. — Diabli wiedzą, ile w tym faktów, a ile twoich aktualnych imaginacji!

— Nie masz prawa!! — krzyknął dziwnie piskliwie.

— Tak. prawo to ty! — również podniosłem głos. — A nawet jeśli było tak, jak mówisz, to co ty chcesz mi tu wytłumaczyć? Złapała was burza, zabłądziliście i straciłeś głowę. Myślisz, że to coś szczególnego? Te góry widziały nie takie rzeczy! Tutaj byli tacy. co po dwie doby stali na półeczkach nie szerszych od dłoni, zanim przyszła pomoc, albo trwali tam jeszcze godzinę dłużej, żeby wreszcie spaść i przerwać mękę. A parę razy ludzie już dochodzili do takiego, on to widział, czuł się uratowany, nerwy mu odpuszczały i na oczach tych, co szli... Fiuuuu, rozumiesz?! Albo jeszcze były grupy, z których nie wiadomo dlaczego umierali niektórzy, podczas gdy innym w tych samych warunkach nic się nie stało! Więc o czym ty mi tu opowiadasz?!

— Ona mi wierzyła — powiedział pozornie bez związku. — Ufała mi...

— To co? Mam się rozplakać nad tobą?! — powiedziałem ostro. — Zgadza się. zawiodłeś jej zaufanie, choć muszę się przyznać, że szczególnych używaś na to określeń... — zabrakło mi w zdenerwowaniu słowa. Spokojnie, kolego — podniosłem ostrzegawczo dłoń. — Jeszcze nie skończyłem! Może powinienem ci powiedzieć, że nie wyobrażam sobie, jak ktoś w takiej sytuacji może nic podać ręki? Co? Chciałbyś, żebym ci to powiedział i dobił cię. bo wygląda na to. jakbyś tego oczekiwał! Otóż nic! Potrafię to sobie spokojnie wyobrazić, bo żyję już na tym świecie ponad trzydzieści lat i w górach też przeżyłem swoje. Tylko w niektórych sytuacjach spotykasz się oko w oko ze sobą i czasami staje się tak. że od tej pory nie możesz patrzeć co rano w lustro. W porządku, rozumiem, poznałeś siebie! I co to oznacza? placet na wszystko?

Wyciągnąłem papierosa. Ręce mi się trzęsły. On skulił się jeszcze bardziej. Siedzieliśmy tak przez chwilę, milcząc.

— Jak to było? — nie wiedziałem, jak sformułować pytanie i znów wezbrała we mnie złość, tym razem na siebie. — Co ci wpadło do głowy?

— Co mi wpadło do głowy? — powtórzył. — Teraz ty używaś dziwnych określeń. Chodzi ci o to. dlaczego... — urwał — ...z tymi kobietami? — wydał wargi. — Prawdę mówiąc, nie wiem.

— Kpisz?

— Nic nie wskazywało — nie zwrócił uwagi na moje pytanie, wsłuchany w siebie — przez prawie osiem lat... Ja... Ja myślałem, że już nigdy nie wrócę po tym w Tatry... A jednak zaczęło mnie coś ciągnąć — powiedział to, jakby się trochę dziwił. — Po pięciu latach przyjechałem pierwszy raz. Zacząłem szukać... — mówił to z przerwami. — Pytałem, chodziłem... Wreszcie jeden z ratowników... Znalazłem. Myśmy wyszli na ten próg zupełnie z boku, już w obrywie, wiesz? — ożywił się nagle — I w ogóle pakowaliśmy się w ścianę... Tak i tak mogiła... znalazłem to miejsce i wszystko wróciło... Ale jakoś inaczej — ucichł na dłużej. — Potem nieraz tam jeszcze przychodziłem...

— Że też ja cię nigdy w górach nie spotkałem — pokręciłem głową.

— Myślę, że się spotkaliśmy — powiedział spokojnie. — Jak poznaliśmy się w Warszawie, byłem przekonany, że ciebie już gdzieś widziałem i uświadomiłem sobie, że w górach. Po prostu ty nie zwróciłeś na mnie żadnej uwagi, byłem jednym z tysięcy, a ty wtedy byłeś w GOPR — ze. prawda?

Kiwnąłem głową.

— Właśnie. Przeanalizowałem sobie to wszystko. Wtedy, po tym pierwszym razie, myślałem, że się wyda. Orientowałem się przecież w możliwościach... zamilkł. — A tu nic. Czyli naprawdę działam bezbłędnie! Nie — przerwał moje próby. — Nie myśl, że to bezkarność. To coś więcej. Pewność! No bo czegoż takiego można się dowiedzieć ponad to, że ktoś przyjeżdża do Zakopanego i zabija? Nie, jeszcze inaczej, że ktoś przyjechał i zabił. Raz.. Tę serię odkryłeś dopiero ty. To ciekawe, jak?... No. nic. Reszta była ciemną plamą. Tu się nikt nie melduje. Tysiące ludzi kręcą się na w gruncie rzeczy niewielkiej przestrzeni. Cudzo-

ziemcy, waluta, kradzieże, ciągły brak miejsc w schroniskach. Wieczny tumult. Kto tu zwraca uwagę na parę, która przyjeżdża na kilka dni? Nikt. Doprawdy, wystarczy fałszywe nazwisko... Tak... Jeden warunek — strzelił palcami. — Nie możesz być znany otoczeniu dziewczyny. Ale o to możesz się postarać. Zresztą zwykle dba o to ona... W porządku. Tak to właśnie wygląda. Załóżmy nawet, że ktoś się dokopie i odtworzy przebieg. OK. Tylko jeszcze raz pytam, co z tego? Co mu to da? Powiedzmy, że jakimś cudem, no niech będzie, że nie cudem — bo te dwie ostatnie historie były rok po roku... Tak... — zastanowił się nagle — to faktycznie pewien błąd. Pewna rysa... No nic — powtórzył. — Więc ten przebiegły ktoś zastawia pułapkę w tym miejscu, w żlebie, bo już to pokojarzył. Porozstawiał niby taterników dookoła, sam wisi na linie w tym żlebie, albo waruje pod nim i czeka. I co, myślisz, że ja jestem taki głupi, żeby w to wlecieć? Nie zauważyć? A z drugiej strony jakie ma wyjście taki przebiegły ktoś? Właśnie czekać Tylko to jedno! Bo choćby nie wiem jak przenicowywał życiorysy ofiar, to niczego się z nich o mnie nie dowie. Mnie tam nie ma! Co on więcej może zrobić? Zaręczam ci, że taki ktoś dowiedział się o wiele więcej o różnych świństewkach legalnych małżonków tych kobiet, niż o moim wyglądzie! Nic, kochany, tu nic ma żadnej szansy. Jedyne przypadek, że mnie ktoś zobaczy. Wtedy. Ale to doprawdy mała nadzieja, bo mgła zakrywa wszystko, a ja dbam o pogodę. Parę razy musiałem zrezygnować Żebyś ty wiedział, ile mnie to kosztowało! Nie, sprawa jest nie do odkrycia!

— Jednak się dogrzebałem. I to bardzo prosto, choć przyznaje, że dla stróży, tu masz rację, musiałyby to być olśnienie!

— Nie zwrócił w ogóle uwagi na to, co powiedziałem

— To się zjawilo nieoczekiwanie — podjął po chwili, jakby się ocknął. — Poznałem taka babkę... Też była blondynką jak Klara... — przerwał na moment — Potem dopiero uzmysłowiłem sobie, że podświadomie wiązałem się z kobietami podobnymi do niej... — pokiwał głową. — Byliśmy prawie rok ze sobą, i kiedyś... Była wtedy u mnie. Siedziałem w pokoju, a ona krzątała się w kuchni i... — szukał wyraźnie słowa — —I to było takie rodzinne. Zrozumiałem, że ona tak bardzo przypomina mi żonę! Że zaczyna się z nią utożsamiać. I pojąłem, że nie mogę tego znieść! Nie mogłem! — powtórzył to kolejny raz w czasie tej rozmowy.—Rozumiesz?! Tak się zaczęło

— Czyli, jeśli cię dobrze zrozumiałem — kręciło mi się w głowie — wyszukiwałbyś następne kobiety, które ci się podobają, a ponieważ masz dość stały gust, byłyby to dziewczyny podobne do twej byłej żony, co uświadamiałbyś sobie po pewnym czasie i mordował, tak?! I od początku?

— Nie wiem — powiedział po prostu. — Nie wiem. Inna sprawa, że to się działo coraz częściej...

Było coś niesamowitego w tej chłodnej analizie.

— Kochany — warknąłem a może przy okazji ty zagłuszasz w ten sposób siebie? Co? Własny nikczemny strach?!

Popatrzył na mnie spod oka i rysy mu stwardniały. Czyżbym trafił? Nic już nie wiedziałem Rozmowa znów się urwała. „Co z tym cholernym Maćkiem? Czemu nie przyjeżdża? Przecież się umówiliśmy! Sam przyjechałem tu z rana samochodem GOPR—u, a on miał dobić po paru godzinach. Chciał się trochę prześpać. I nikogo znajomego jak na złość!! Niech to szlag!”

— I co teraz będzie? — usłyszałem jego cichy głos

— A co ma być? — wewnętrzne napięcie wróciło mi błyskawicznie.— Koniec, bracie. Milicja wie o wszystkim. Tylko myśleli, że pojechałeś do Warszawy. Jest tam brama na twoje przyjęcie. Ale co się stało, że ty jesteś tułaj?

— Musiałem zostać... zamilkł, — Tu... Małgorzata przecież żyła!

Trzepnąłem się ręką w czoło Ależ ze mnc idiota! Wystarczyło obstawić szpital!

— Byłeś w szpitalu? — zapylałem, choć byłem pewny odpowiedzi.

— Uhm. Nawet myślałem, że go obstawiono Nie miałem jednak wyboru. Był czysty i to mnie utwierdziło, że gówno wiecie! Ciekawe, jak żeś ty się dowiedział? — patrzył na mnie z przedziwną mieszaniną nienawiści i podziwu. Aaaa — machnął ręką. zanim zdołałem wyjaśnić — nieważne. Ona nie żyje. wiesz? — stwierdził, jakby informował mnie o godzinie odejścia pociągu

— Ty skurwysynu! — nie wytrzymałem. — I co cię następnie tu przyniosło?! Chciałeś się zatracić w górach, czy popatrzeć na swoje miejsce ciężkiej pracy i samookreślenia? Odpowiedz! Po co tu przyjechałeś?!

— Co ci się stało? — patrzył na mnie zdziwiony. Naprawdę zdziwiony! —Jakie zatracenie? — wzruszył ramionami. — Gdzieś zginął mi dowód Mój prawdziwy dowód, rozumiesz?! Musiałem go tu gdzieś posiać...

—Tupetu ci nie brak ty naprawdę myślałeś, że jesteś bezkarny!

— Bzdury opowiadasz Po prostu musiałem znaleźć ten dowód... A wszystko wskazywało na to. że nikt niczego, przynajmniej na razie, nie podejrzewa.

Mimo wzburzenia doszło do mnie. że właściwie miał rację. Kiedy ten Maciek?...

—Muszę iść do ubikacji —ruszył się za stolikiem.

— Gdzie? Nigdzie nic pójdiesz'

— Ty żeś naprawdę zwariował, czy co?

—Nie zwariowałem, ale nigdzie cię samego nie puszcę!

— Idiota, jak Boga kocham! Do kibla ze mną wejdiesz?! Człowieku!

—Ludzi tu. kolego, nie ma! Dasz nogę!

—Jak? I gdzie? — pokiwał głową. — Schowam się w stawie? Założę czapkę—niewidkę? Stuknij się! Pójdę na piętro, jak jesteś taki przewrażliwiony.

Ważylem w myślach to, co powiedział.

— Dobra, nie będę się do tego stopnia wygłupiał, żeby ci tu kufelek podstawiać! Na piętro możesz.

— W porządku, za chwilę wrócę. A może chcesz pójść ze mną i stanąć pod drzwiami?

— Pyskaj! — zgrzytnąłem zębami.

Wstał i poszedł. Odprowadzały go ciekawe spojrzenia. Doszło coś z tej rozmowy do okolicznych stolików, czy nie? Rozważałem, czy nie powiedzieć jednak komuś... A może wyskoczyć teraz i wpaść do Goprówki? Wystarczy! Mają telefon! Nie. wróci, zobaczy pusty stolik i jeszcze ucieknie... Złapie się go pewnie, ale przy tym jego stanie psychicznym... Wszystko możliwe! Zresztą, po co te komplikacje. Trzeba to doprowadzić samemu do końca, jak się już zaczęło! Zaraz będzie i...

Coś mnie tknęło. Długo nie wraca!

Poderwałem się zaniepokojony. Przebiegłem przez drugie pomieszczenie i pchnąłem uchylne drzwi. Wpadłem na schody, przeskakując po trzy stopnie. Deski, z których były zrobione, trzeszczały już chyba jako drzewo w lesie! Na piętrze kręciło się kilku ludzi. Na razie nie było sensu zaczynać z nimi gadki... Drzwi ubikacji były zamknięte.

— Co się dzieje? — załomotałem w dechy. — Odezwij się!

Cisza.

Wzięłem rozpęd i runąłem na drzwi.

— Człowieku, co ty? — usłyszałem za sobą. Nawet się nie odwróciłem, wściekły, bo haczyk nie puścił. Takie wątle bydlę! poprawiłem i wleciałem do środka.

Pusto. I otwarte okno... Gdy to zobaczyłem, wyrwałem jak rakietą na korytarz. Skok! Skok! Drzwi! Schody! Skok! Drzwi! Jadalnia, ludzie przy stolikach. Szybciej! Drzwi! Znowu ludzie...

— O rany! Prawdziwy świr! — dobiegi do mnie w przelocie czyjś komentarz...

Znów dwa szalone skoki! Czyjeś rozwarłe szeroko oczy... Schody w jednym susie! placyk! Barijerka... Był! Po lewej stronie na wschodnim brzegu stawu zauważyłem biegnącą sylwetkę. Minęła już kępę lasu i była na otwartym, gołym brzegu. Za daleko było, żeby dokładnie rozpoznać, ale wystarczył ten niebieski skafander! Kto inny by zresztą biegał teraz dla rozrywki dookoła Morskiego Oka? Odbiłem się od gładkiej, wypolerowanej tysiącnymi dotykami poręczy i roztrzając ludzi popędziłem do dyżurki GOPR

Gdy zbiegliśmy nad staw zaczął znowu padać deszcz. Nic zwracałem na to uwagi, choć wiedziałem, że najprawdopodobniej w górze przechodzi on w śnieg, bo zimno było piekielnic już tu, na dole. A może to ja byłem taki wewnętrznie wychłodzony?

ON miał nad nami przewagę około dwudziestu minut, może trochę więcej... Nie umiałem dokładnie określić upływu czasu, bo ostatni co najmniej kwadrans — to był jeden wrzask. Dyżurujący w goprówce ludzie — nie znałem ich — byli w ogóle przeciwni jakimkolwiek gonitwom, a już szczególnie z udziałem ratowników! „Zawiadomić milicję i Słowaków! Starczy!”. To były słowa jednego z nich. „Łapankę chcesz, bracie, robić?”. Dobili mnie tym: „bracie”. Może nawet mieli rację? Chyba raczej na pewno! Tylko ja wiedziałem, że tak nie mogę... Czułem, że bym sobie nie darował tego spokojnego siedzenia na dole i czekania na wiadomość, aż góry go zduszą i wróci... Albo jutro pójdzie się z bambusem lub ktoś zbiegnie wykrzykując, że zobaczył

A jak się coś naprawdę wydarzy? Od wczoraj jakaś dwójka siedzi na Kazalnicy i nie podoba nam się to! Zrozum nas!" dorzucił drugi. Rozumiałem, psiakrew, doskonale rozumiałem! Wskoczyłem wściekły. Trwało trochę, zanim złapałem kilku ludzi. Znalazł się Staszek. Świetnie! Było też dwóch ludzi, których doskonale znałem jeszcze sprzed lat. Właśnie z Tatr. Okazało się, że siedzieli niedaleko nas! Jak ja mogłem ich nie zobaczyć?! I jeszcze trójka, która sama zaczęła innie na placyku przed schroniskiem, pytając, co się stało i czemu biegam jak tarantula. Tak właśnie powiedzieli: „jak tarantula”. Pamiętam, że mnie to rozśmieszyło. Szóstka. Aż nadto!

Nasze buty zadudniły na mostku.

— Andrzej— przyhamował mnie nagle jeden ze znajomych taterników. — Poczekaj! Ja myślę, że on pójdzie do tego zlebu na Wyżnej... Wytłumaczyłem im wszystkim w paru słowach, o co chodzi, gdy się ubierali.

— To możliwe — odparłem.

— Jestem pewien — włączył się drugi.

— A my go od zakrystii!

— To znaczy?

— Po prostu. Wy idźcie od Czarnego Stawu, a my z Gienkiem wskoczmy tu w las i znajdziemy go z boku. Górnym przez Apostoły— wyjaśnił. — Przecież tym szlakiem w godzinę będziemy pod Owczą. A stamtąd... — rozłożył ręce. — No, co?

— W porządku zdecydowałem się szybko. — Tylko chłopaki — ostrożnie. Uważajcie, bo według mnie on jest naprawdę zdolny do wszystkiego. Nie ma nic do stracenia.

— Ma. Jędrus — Gienek nie był specjalnie przestraszony—Życie. Nie będzie się wygłupiał. Cześć

Zniknęli w lesie. Starając się iść jak najszybszym, a jednocześnie równym krokiem podeszliśmy pod Czarny Staw. Na wielkim, płaskim głazie koło krzyża i obok niego stało sporo osób. Wpatrywali się w posępną, ledwo widoczną we mgle i deszczu ścianę Kazalnicy.

— Gdzie oni tak się gapią — zainteresował się Staszek. — Przecież w tych warunkach Nic nie wi- dać...

— Czołem, nic widzieliście państwo biegnącego faceta w niebieskim skafandrze? rzuciłem niecierpli- wie, nie kierując tego do żadnej konkretnej osoby.

— W niebieskim? — — odwrócił się do nas jakiś gość z rękami w kieszeniach.

— Tak. Najdalej pół godziny temu musiał tedy przechodzić!

— Uhm. Faktycznie przeleciał taki model — kiwnął głową.

— I gdzie poszedł?

Tak byłem pewien odpowiedzi, że bezwiednie zacząłem iść w lewo.

— Zaraz, gdzie pan idzie, kochany? — osadził mnie rozmówca. — W prawo — wyjął jedną łapę i mach- nął w kierunku Bandziocha.

— Tam? — nie chciałem uwierzyć. Zaczęło kiełkować we mnie podejrzenie. — Naprawdę?

— Naprawdę! — włączyła się jakaś zaaferowana kobieta. — Ja też widziałam. Ten pan biegł i ciężko dyszał. Nawet nie stanął przy nas, tylko popędził dalej. Znow coś się stało?

— Jak to: znow? — odezwał się Staszek.

— A panowie może z Gopr—u? — wymówiła tę nazwę jak modlitwę.

— Ja niby tak — przytaknął Staszek. — Ale koledzy... A co tu się dzieje?

— Ktoś chyba woła na Kazalnicy — wtrącił jakiś facet z boku. — Gopr już wie. Myśleliśmy, że to panowie, choć to tak szybko...

— Panowie ratownicy bardzo szybko chodzą! — z naciskiem powiedziała ta sama co poprzednio ko- bieta. Patrzyła Staszekowi w oczy.

— Stachu, nie mamy chwili do stracenia. Tu nic nie zrobimy! Ludzie już wiedzą, więc dadzą sobie radę. Na Kazalnicy nic nie zrobisz gołymi łapami! Idziemy — złapałem go za rękaw i pociągnąłem.

— Tak. lecimy — przytaknął i ruszyliśmy. Koło koleby w Kotle przystanęliśmy. Widoczność była jeszcze gorsza i zimno zaczęło wręcz kąsać. Deszcz momentami zmieniał się w grad. Powyżej dwóch tysięcy śnieg pada niezawodnie!

— Proszę pana — odezwał się jeden z tych młodych. Wiedziałem, że z czymś wyskoczą, bo rozpięta ich widoczna żądza czynu. Zastanówmy się, co ten... jak mu tam... mógł zrobić.

—Może chce prysnąć na Słowację? — rzucił drugi z nich.

— I co to mu da?— odparł Staszek.

— Fakt. Nic.

— A może... — chłopak miał rozszerzone źrenice — ...a może on... — nie dokończył. Zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Bałem się tego samego.

— Trzeba go łapać jak najszybciej! — na to tylko było mnie stać.

— Właśnie! Proszę pana... Tak jak ci pana koledzy... My go zajdziemy z boku! Dobrze?

Masz tobie! Należało się tego spodziewać!

— Jak? — spytał lakonicznie Stach.

—A przez siodełko w Filarze Miękusowieckiego przejdziemy półkami na Wielką Galerię i na Hińczową Przełęcz. Jeśli on idzie na Chłopka, to potem gdzie może dalej? Albo w dół. albo w prawo Drogą po Głazach.

—Niekoniecznie. Może pójść na Miękusowieckiego nad Czarnym. Tam jest zupełnie łatwo — stwierdziłem z namysłem.

— I gdzie dalej?

— A może on w ogóle nie chce dalej? — włączył się ponownie Staszek. — Trzeba go łapać! — powtórzył za mną. — Z tym obejściem to nie jest głupi pomysł! Tylko czy wy znacie tę drogę? Można się wpakować w pioruńską przepaść!

— Znamy — chłopak był lekko obrażony. — Wczoraj żeśmy się nią wycofywali z Filara...

— Dobra. Idźcie — odezwałem się. — Ale tylko dwóch!

— To ja zostanę z panami — milczący dotąd gość przesunął się bliżej nas.

— Czekaście na Hińczowej albo jeszcze lepiej posuwajcie się powoli trawersem pod granią!

— Ale nie dalej niż do tego siodełka w żebrze, gdzie się drogi z Hińczowej i Chłopka łączą. Chyba że usłyszycie nasze glosy, to walcie do nas. Cześć! — pożegnał ich Staszek.

Zniknęli i oni. Już tylko w trójkę, coraz bardziej przyspieszając, jęliśmy się pięć mokrymi skałami. Popędzał mnie niepokój. Oni chyba czuli to samo. bo nie mówili nic i słyszałem tylko ich nierówne, głośne oddechy...

Na Przełęczy pod Chłopkiem wiatr zatykał i oślepił zupełnie. Trzeba było się odwrócić, żeby w ogóle coś powiedzieć. Śnieg ciał po twarzy i wciskał się w każdy zakamarek ubrania. Znowu straciliśmy pół godziny, bo trzeba było sprawdzić wierzchołek Czarnego.

— No i co?! — ryknął mi Staszek do ucha, gdy przygięci do stoku szalejącą kurniawą wróciliśmy na szerokie siodło. — Wracamy na dół?

— Nic! — odwrzasnąłem. — Musimy wejść na Mięgusza.

— W taką pogodę? On musiał zejść do Popradzkiego!

— A jak nic? — spojrzałem mu z bliska w oczy.

— Cholera jasna! — zaklął i ruszył pochylony w poprzek bezkresnej przestrzeni, w jaką zamieniła się przełęcz w tę zawieję.

Czułem, że to, co robimy, jest bez sensu. Mogliśmy przejść obok niego o parę metrów i go nie zauważyć. I jak go tu zresztą gonić? A jednak nawet nie powstała mi w głowic myśl o powrocie! Musiałem wiedzieć, że wykorzystałem wszystkie możliwości i zrobiłem, co mogłem. Do końca! A poza tym to przecież przez moje gapiostwo ta cała historia! „Siedział spokojnie przy stoliku!” — zacisnąłem z wściekłością pięści. I tak się dać podejść! Ciekawe, czy planował to od początku rozmowy... Niczego już nie byłem pewien...

Nagle zderzenie wyrwało mnie z tych rozmyślań. Staszek ostrożnie schodził zalodzonymi płytami i ściankami gdzieś w wirującą śniegiem głębię. Młody dreptał w miejscu i właśnie na niego wpadłem.

— Co jest? — spytałem.

— Trudno jest i ten pan powiedział, żebym poczekał.

— Hej!!! — ryknąłem do znikającej momentami postaci dziesięć metrów poniżej. Usłyszał i podniósł głowę.

— Poczekaj!

Spojrzałem ponownie na chłopaka. Był wyraźnie zdenerwowany.

— Dasz radę wrócić? Ale do Morskiego, bo możemy tędy nie iść z powrotem?!

— Sam nie... Idę z wami — wymamrotał, — Nie trafię. Tu wszystko jest takie same.

Trząśł się z dłońmi schowanymi pod pachy. Jeszcze to do kompletu!

— Weź się w kupę, bracie, bo nie możemy sobie pozwolić na niańczenie nikogo!!! — wrzasnąłem mu do ucha. — Rozumiesz?!

Kiwnął niepewnie głową. Wyciągnąłem linę.

— Wiąż się. Ale jak będziesz leciał, to chociaż krzyknij, żebym zdażył się przeżegnać — puściłem do niego oko. — No! Na nic już nie mamy czasu, a już najmniej na sztywną asekurację tutaj! Musimy się dobrze związać, żeby przed nocą zobaczyć schronisko!

Doszliśmy do Staszka, który tymczasem zaczął pomału złazić dalej w kierunku, gdzie był usypisty zachód przecinający całą południową ścianę Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego. Na siodełku w zębrze nie było nikogo. Zacząłem się niepokoić i o tamtych dwóch. Wariacka wyprawa — widziałem to coraz jaśniej.

Natomiast nie widziałem okolicy. W większej niż kilka metrów odległości skały rozmywały się i ginęły. Zachodziłem w głowę, jak udało nam się nie zgubić drogi...

Staszek obrócił się i popatrzył pytająco na mnie. Pokazałem mu ręką w kierunku szczytu. Wzruszył ramionami. Przeszliśmy na potrząskaną grządkę, zbudowaną z kruchego granitu...

— Uwaga!!! — usłyszałem nagle czyjś krzyk i równocześnie głośniejszy od wycia wichury łomot. — Kamienie!!!

Huk zgęstniał i zbliżał się z przerażającą szybkością. Jakieś niewyraźne cienie przemknęły obok... Grad odłamków. Całym sobą czekałem na miażdżące uderzenie. Gdzie trafi...?! Przeszło... Ogłupiały, machinalnie otrzepując ubranie podniosłem się zza niewielkiego głazu. Sam nic wiedziałem, jak się tam znalazłem z plecakiem na głowie... Instynkt?

— Staszek! — krzyknąłem niepewnym głosem.

— Jestem! — był tuż koło mnie. Leżał jeszcze na mokrej skale. Szarpnąłem z lękiem liną. Był opór. Popatrzyłem wzdłuż niej. Ciemnoszary pakunek na końcu. Serce podeszło mi do gardła. Czyżby? Ruszył się. Wstał. Odetchnąłem. Sztywny jak manekin dołączył do nas.

— To on — wychrypiał. — On!!! Jaki on!? Co ty gadasz!?

— On — pokazał trwożliwie w górę. — Ten, co go gonimy! On nas zabije!

Czułem się jak w jakimś koszmarnym śnie. Oszalał?!

— Zidiociałeś, chłopie — wrzasnął Staszek. — Na mózg ci padło?!

— Mówię wam, to on. Usłyszał nas!

— Zamknij się, bo dostaniesz w mordę!!

— Nie idę dalej! Nie idę! — trząśł się cały. Te urywane, wysilone krzyki tłumione przez wiatr były nie do opisania! Czułem, że i ja zaczynam poddawać się pogodzie...

Podskoczyłem do chłopaka i na odlew trzasnąłem go w twarz. Głowa poleciała mu do tyłu. Zachwiał się. Szarpnąłem liną utrzymując go w równowadze. Nie upadł. Chciałem poprawić, ale zobaczyłem, że patrzy znacznie przytomniej i zdołałem powstrzymać rękę. Oddychał głęboko.

— Do góry! — powiedziałem. — Bo inaczej wszyscy zwariujemy!

Na półce pod przewieszonymi, wychylonymi w przepaść skalami zostawiliśmy poręczówkę z liny Staszka. Chłopak pomagał nam całkiem logicznie, jakby starał się zatrzeć tamto... Nie dziwiłem mu się wcale. Resztę liny rzuciliśmy po prostu obok, uwiązaną do haka— Klepnąłem gościa po plecach. Odwrócił się i uśmiechnął blade. Poszliśmy dalej. Staszek dołączył właśnie do położej i już szerokiej grani pod samym szczytem, gdy naraz zatrzymał się jak wryty.

— Jest — powiedział i pokazał ręką przed siebie.

Wśród wielkich, rozrzuconych tu głazów, stała jakaś niewyraźna postać. Ginęła w wirach śniegu zmieszanego z mgłą i przewalającego się przez grzbiet grani. Młody chwycił mnie kurczowo za ramię, bo wpatrzony w tę nierealną zjawę szedłem machinalnie nadal do przodu. Ocknąłem się.

— Konrad!!! — krzyknąłem w ten przeraźliwy wiatr.

Coś gwizdnęło koło mnie. Zauważyłem gwałtowne ruchy tej ciemnej plamy. Rzucił kamieniami? Przypadliśmy za wielką wantą, a on zniknął.

— I co teraz? — wydyszał Stachu. — A jeśli on oszalał?

Tu na górze wszystko było możliwe, więc wcale mnie to pytanie nic zdziwiło. Rzucił czymś, widziałeś?

Kiwnąłem głową, myśląc usilnie, co tu zrobić? Zaczęła narastać we mnie wściekłość. Który to już raz dziś? Podniosłem się na kolana i odwiązałem z liny.

— Co ty wyprawiasz? — ~ poderwał się Staszek.

— Pójdę po niego. Przecież nie będziemy się tu czaić nic wiadomo jak długo! Zaraz noc. Pogoda taka, że jej możemy nie przetrzymać... Ani żarcia, ani nic... A on na pewno nie... — wyrzuciłem z siebie w obawie, żeby mi nie przerwał. Czułem się tak, że jakiegokolwiek zatrzymanie mnie, zanim tego nie powiedziałem, przykleiłoby mnie do tej wanty na wieki.

— Nie pozwalam ci! Czyś ty zidiociał? Tracisz, rozum na tym wietrze!

— Zrobię tak i już mnie nie zatrzymasz! Wskoczyłem zza głazu i pobiegłem, po kilku krokach obejrzałem się. Wyszedł za mną. Podniosłem uspokajająco dłoń i ruszyłem znowu. Na głównym wierzchołku nikt nie było. Przeskoczyliśmy na wschodni. Był. Siedział nad samą zerwą pionowej ściany. Ciekawe, czy wiedział, że ma pod nogami ponad czterysta metrów powietrza? A jeśli TAK? Dopadłem go, przewracając go do tyłu i przyciskając do skały. Zupełnie bez sensu, bo w ogóle się nie broni. Jak kukła... Podniosłem się, czując jego nieruchomość. Patrzył na mnie z dołu. Oczy miał zupełnie bez wyrazu, jakby pomału zamarzał...

— Wstań — powiedziałem, a może wrzasnąłem, bo jękliwy szum wichury tłumił wszystko.

Nic już więcej nie mówiliśmy. Co tu było do dodania? A jednak uderzyła mnie pewna niesamowitość tej sceny. Trzech ludzi w kompletnym milczeniu, szarpanych piekielnym wiatrem, w zapadającym zmroku, na szczycie wysokiej góry, oddaleni o kilka godzin od najbliższego ludzkiego domostwa, wiąże liną czwartego, który poddaje się temu bezwzględnie jak trup.

Zaczęliśmy schodzić granią, zrazu szeroką, zwązającą się jednak rychło i stromiejącą. Jego trzeba było nieledwie ciągnąć na wyprężonych linach. Zaczynała się ładna zabawa! Czoło, mimo strasznego zimna, od którego drętwiał mi kręgosłup, miałem mokre od potu. Przodem szedł Staszek. Miał w ręku jeden koniec liny. Drugi koniec trzymałem ja. Młody, z jeszcze jedną liną dowiązaną do węzła na piersiach Konrada, pomagając nam w trudniejszych miejscach, spełniał przede wszystkim rolę łącznika między nami.

— Powiedz Staszekowi — ryknąłem do niego — żeby nie szedł tą półką, co zostawiliśmy linę. Z nim to jest za niebezpieczne! Niech obejdzie górą. Na grani jest lepiej!

Kiwnął głową i zaczął pokrzykiwać do Stacha, którego momentami wręcz nie widziałem. I tak szliśmy. Gdy dotarliśmy do tego siodelka w żeberku, miałem wszystkiego dość. To spuszczenie na linach prawie bezwładnego ciała było ponad siły. Po raz pierwszy pomyślałem, że niekoniecznie musimy wrócić... Tamtych dwóch nadal nie było i zostało mi jedynie pocieszać się, że nie dali rady i zawrócili...

— Słuchaj — dyszałem jak suchotnik. — Idź o własnych siłach! Nie pociągniemy sami do doliny...

Milczał i patrzył, przysięgłbym, że złośliwie. A może mi się wydawało?

— Ja wcale nie chce wrócić — powiedział nagle zachrypniętym głosem. — Do czego?

— To czemuś, bydlaku... — zaczął Staszek i umilkł jakby przestraszony tym, co chciał powiedzieć.

— Nie mogłem — odparł jak zdarta płyta. Widać zrozumiał...

— Idziemy — młody miał szaleństwo w oczach. — Chodźmy, bo nie ręczę za siebie!

Nie wiedziałem, o co mu właściwie chodzi...

Znów zaczęliśmy schodzić w nie zmienionym szyku przepaścistymi półkami i rynienkami. On pomagał nam jednak i szedł teraz zupełnie znośnie. Inaczej absolutnie nie bylibyśmy w stanie. „Aby na Hińczową! Żeby tylko na Hińczową” — kołatało mi w czaszce. Mózg miałem od zimna skurczony jak pięść. Modliłem się do tej przełęczy, żeby jakimś cudem przybliżyła się, żeby już była...

Zacząła we mnie wstępować nadzieja. Jeszcze tylko ta płyta, żeberko i praktycznie jesteśmy. Staszek przesunął się po gzymsie w poprzek pochylonej silnie skalnej płaszczyzny i przywarł do granitu no drugiej stronie. Teraz on. Popuszczałem wolno linę. w miarę jak się posuwał. Był już prawie przy końcu, gdy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, okrzyku, runął do tyłu. w pustkę. Siłą rzeczy lina była trochę luźna i szarpnięcie wyrwało mnie z niepewnych stopni. Czerwone płyty, szum. Zatrzymać się! Coś mnie ponownie szarpnęło, jak już prawie stawałem. Nawet się nie przestraszyłem. Ze dwadzieścia metrów, nieźle to była moja pierwsza myśl. W górę biegł ciemny ślad, wyryty przeze mnie w śniegu. Linę cały czas trzymałem w ręku! Bolała mnie prawa dłoń. Płynęła z niej krew. Od liny...

Dobiegły do mnie jakieś krzyki, Jak podcięty biczem, zupełnie jak mała podlażłem do góry. Stali obaj koło tego miejsca, gdzie był przedtem Staszek. Skręciłem skosem, prowadzony liną, do nich. Młody, jakby nic się nie stało, przelażł mi gzymsem nad głową. Nerwy miałem napięte jak struny...

— Nic ci się nie stało? — wykrzyknął na mój widok Staszek.

— Nic. Co to w ogóle było?

— Skoczył sukinsyn — odpowiedział zadziwiająco spokojnie. — Nie wiem, co kazało mi na chwilę przedtem wbić hak. Ostatni, jaki miałem. Rozumiesz coś z tego...?

Nie panując nad sobą doskoczyłem do Konrada i pięścią wyrznąłem go w szczękę. I jeszcze raz...

— Przestań — szarpnął mnie młody, który właśnie doszedł. Oddychałem ciężko. Teraz dopiero nastąpiła reakcja. Nogi miałem jak z waty.

— Ulżyło ci? — spytał nagle Hederle. Z ust płynęła mu ciemna strużka.

Na Hińczową dotarliśmy zupełnie po ciemku. Nie zatrzymując się skręciłem do żlebu, bo teraz ja szedłem pierwszy, i... stanąłem raptownie. Zlodowaciały, wywiany śnieg, a my nie mamy nawet jednego czekana i upadamy ze zmęczenia... Koniec — uzmysłowiłem sobie ze spokojną pewnością. Usiąść i czekać na świt? Dygot całego ciała był nie do opanowania, a palców zaciśniętych na linie nie mogłem w ogóle rozprostować. Albo tak zeszytywniały, albo nie reagowały już na sygnały wysyłane z mózgu.

Staszek dotarł do mnie trzymając Konrada krótko na sznurze jak psa na smyczy. Nie mówił nic.

— Zobacz, bracie, mogiła — kopnąłem niemrawo w śnieg. — Zjeżdżalnia. Nie wyrobimy z nim i bez czekana...

— Koniec? — spytał rzeczowo, jak ja przed chwilą samego siebie.

— W życiu — warknąłem. Na Cubryńską. w dół i przez Przełęczkę pod Zadnim Mniczem! Inaczej zdechniemy w tym zimnie!

Patrzył na mnie. jakby mówił: „wierzysz w to?”, ale nie odezwał się. Szarpnął liną i postąpił krok przeciw wichurze, przewalającej się przez wąskie wcięcie przełęczy na polską stronę gór. Młody kiwnął się za nim. To cud, że on jeszcze chodził! Z ogromnym wysiłkiem wydałem rozkaz nogom, aby się poruszyły. Miałem całkowitą świadomość, że nie dojdziemy i chodziło tylko o te parę kroków...

I wtedy usłyszałem głosy! Początkowo myślałem, że to halucynacja. Zdarzały się takie rzeczy... Ale nie! Naprawdę ktoś podchodził! Wyłoniła się postać, druga, trzecia. Maciek...

Zamknąłem oczy. Nie chciałem upaść...

Czując się jak obity pies. parząc sobie dłonie, piłem nie wiadomo który kubek herbaty. Na placyku przed schroniskiem kręciła się kupa ludzi. Na Kazalnicy był niezły kocioł... Jacyś Niemcy... No i my... Stał milicyjny gazik, samochód GOPR—u, błyskały pochodnie. Deszcz padał cały czas, ale tu, na schodkach prowadzących na werandę, nie mógł mnie dosięgnąć... Bez słowa wyciągnąłem kubek do Maćka. Pokręcił głową i przechylił termos. Poleciało kilka kropel..

— Trzeci — powiedział. — Poczekaj, przyniosę z kuchni...

Podniósł się i wszedł do budynku. Od gazika oderwał się jakiś mężczyzna i podszedł do mnie. Ze zdumieniem rozpoznałem Jastrzębskiego.

— Ty?

— Cześć — powiedział zwyczajnie, jakbyśmy pożegnali się wczoraj. Milczeliśmy.

— Słuchaj — spytał po chwili. — Nie wiesz, dlaczego on tu wrócił?

— Zgubił gdzieś dowód i myślał, że tutaj...

— Dowód zgubił? — pokręcił głową, — Miał go przecież w kieszonce tego małego plecaczka, z którym chodził w góry!

— Miał go?

— Tak.

Znowu umilkliśmy.

— Wiesz, on musiał już być w tym przymusie psychicznym — powiedział wolno Jurek.

Nic na to nie odpowiedziałem. Wstałem. Za moimi plecami w schronisku śpiewały nierówne głosy...

Beli klopocy, beli, ale sie mineni.

i my sie minemy po malućkiej kftli...

Warszawa 1983